Dwa romanse Walterscottowskie

J. U. Niemcewicza „Jan z Tęczyna“ i F. Bernatowicza „Pojata“.

(Ciąg dalszy).

Obmyślenie intrygi, a w związku z nią konstrukcyi romansu, jest u Bernatowicza niezwykle zręczne, w sposobie nawskróś WScottowskie. Dwu bohaterów, jeden dziejowy, drugi zmyślony, jeden mający przed sobą plany ogólniejsze, tworzący historyę, a jednak ulegający słabościom ogólno-ludzkim, także czarowi miłości, drugi wplątany w sieć przeróżnych, nadzwyczajnych przygód, ale wytrwały, umiejący się decydować — to jakby wcielenie w życie wniosków i reguł z urobionej na podstawie lektury Scotta teoryi. Przytem przygody niektóre i sceny, choć ich racya bytu w pierwszej chwili dla czytelnika czasem niejasna, tak wymyślone, że nietylko działają na wyobraźnię pobudzająco, ale że, łącząc się z sobą w łańcuch, posuwają akcyę powieści. Jest tych pomysłów znacznie mniej, niż u Scotta, u którego nierzadko mamy do czynienia z prawdziwym labiryntem scen, powiązanych węzłem przyczyny i skutku, ale są one i w „Pojacie“. (Gdyby nie niechęć Jerbuta do Trojdana, która przechodzi w nienawiść, i gdyby nie ostatniego „ujście ze świątyni“, nie byłoby poszukiwań w celi rzekomego ofiarnika; gdyby nie było poszukiwań, nie byłby się portret Jadwigi dostał do rąk Jagiełły; a gdyby nie ten wypadek, nie byłoby małżeństwa księcia z królową polską. Gdyby Sundstein nie wyjawił był przed Trojdanem swych zamiarów względem Pojaty, ten nie byłby jej ocalił, wiodąc do klasztoru, a potem przez podziemia, nie byłby się znalazł w Kierniowie, nie byłby rozbudził uczuć w sercu córki Lezdejki. Gdyby nie śmierć Wojdyły,

nie byłaby Aksena ocaliła Trojdana i nie byłaby się przyczyniła do powtórnego wyniesienia Jagiełły i t. d.). Słowem Bernatowicz ułożył sobie plan powieści w drobnych szczegółach.

Momentem pobudzającym, tak u autora „Waverleya" znamiennym, jest tu tajemniczość osłaniająca młodego ofiarnika Znicza, i w takiem jak u Scotta zastosowaniu.[1]) Dość przypomnieć samo wprowadzenie osoby Firleja w towarzystwie starca Wszebora, rzekomo ojca młodzieńca, i słowa kandydata na ofiarnika: „ty, mój ojcze, wracaj spokojnie do domu, wracaj, jak gdybyś o niczem nie wiedział; ukrywaj twe kroki i nie przychodź, aż o wiadomym czasie. A nadewszystko nie zapomnij skarbu mojego..." (I. 55). Od tej pory postać Trojdana-Firleja okrywa stale mgła tajemnicy, powoli ale statecznie się odsłaniającej. Nim się jednak ta mgła rozprószy, czytelnik długo będzie błądził wśród ciemności, a autor będzie z szczególnem umiłowaniem drażnił jego ciekawość bez zaspokojenia jej, jak wtedy, gdy każe Trojdanowi niezmiernie zmieszać się na widok Pojaty, lub oznajmić mu, że los poczyna sprzyjać jego zamiarom (II. 10, jakim?) — choć wówczas już, co prawda, czytelnik upewnia się przynajmniej, że „Trojdan nie jest Litwinem, że miłość jest jego cierpień przyczyną, że ona wprowadziła go w mury świątyni i że ma zamiar coś w niej znakomitego dokonać". Ale gdy Trojdan odkrywa zaufanym ofiarnikom cel swego przybycia do świątyni (II. 17), czytelnikowi cel ten nadal nie jest znany; gdy widzi już różnicę między Pojatą a „znaną sobie osobą", czytelnik napróżno zadaje sobie pytanie, co to za osoba i t. d. Tajemnica wyjaśnia się dopiero w rozdziale p. n. „Stos" (III. 83).

Tajemnic tych wszelako jest więcej, cała akcya jest mrokiem ich przetkana. Dlaczego Helenie na widok kapłanów chrześcijańskich i ofiarników pogańskich „nagle... oczy łzami zachodzą, i jak gdyby coś okropnego ujrzała, miesza się, blednieje i bez zmysłów upada...", czytelnik daremno szuka przyczyny — dowiaduje się o niej znacznie później. Dlaczego, „ile tylko razy wspomniano Jadwigę, Helena, twarz odwracając, kryła łzy poniewolne; skąd

---

[1]) Por. K. Wojciechowski: Pan Tadeusz Mickiewicza a romans W. Scotta. Kraków, 1919, str. 35. (Ponieważ na pracę tę przyjdzie się powoływać częściej, będę ją znaczył przez PT—WSc). Tajemniczość bohatera jako moment pobudzający to motyw z romansu senzacyjnego, a rodem z rodzaju „galanto-heroicznego", przez W. Scotta ulubiony i rozpowszechniony.

nadzwyczajne zajęcie się wojewody Firleja Heleną, gdzie źródło jego wzruszenia, znów najdomyślniejszy nie odgadnie i t. d., i t. d.

Od tajemnic się roi. Czytelnik nie przypuszcza zrazu, że staruszek-wieszczek, przybywający do obozu Krzyżaków pod Wilnem pod imieniem Radziejki — to Wszebór w przebraniu, jak nie domysla się, kim jest osobliwy żebrak w Malborgu, kim rzekomy Krzyżak, oczekujący nad przepaścią Sundsteina. Wszystko to są wypróbowane środki WScottowskie (przebrania! — motyw balladowy jeszcze).[1] By nie szukać daleko, dość spojrzeć na romans „Ivanhoe“, doskonale przecie Bernatowiczowi znany.

Tam przeor Aymer z templaryuszem Brianem z Bois-Guilbert spotykają w drodze podróżnego, który się podaje za pielgrzyma z ziemi świętej, i czytelnik bierze go za takiego. Ale wnet zaczynają się tajemnice. Dlaczego, gdy Brian po wieczerzy u Cedrica odchodzi, żyd ma taką minę, jakby u jego stóp zjawił się promień błyskawicy, dlaczego Gurth jest tak posłuszny pielgrzymowi, dlaczego jest tak silnie wzruszony, kim jest rycerz Desdichado? To jeden ze splotów tych tajemnic, które osłaniają postać bohatera romansu.

Ale i tu tajemnic jest więcej. Kim jest zuchwały łucznik, kim czarny rycerz, kim tajemniczy eremita, dlaczego de Bracy poddał się Czarnemu rycerzowi i tak bardzo spokorniał, gdy ten mu szepnął swe imię?

Charakterystyczne jest powolne odsłanianie tajemnic, spadek znów po romansie senzacyjnym.

Podobnież w innych romansach Scotta, czy weźmiemy pod uwagę „Rob Roya“, czy „The Heart of Midlothian“, czy „A legend of Montrose“, czy „The Antiquary“, czy inne.[2]

---

[1]) Por. Dibelius, op. c., II. 128. Czasem tajemnica odsłania się bardzo szybko. Por. na sposób WScottowski zainscenizowane nabożeństwo nocne w kościele (IV. 6 n.). Helena słyszy bicie we dzwony, potem widzi cały kościół jakby w ogniu. Przerażona! Wnet dochodzi jej uszu głos organów i śpiew. Zaziera do wnętrza kościoła i ku zdumieniu swemu spostrzega „mnóstwo świec zapalonych, otaczających wzniesiony ze zbroi, szyszaków i różnego oręża pomnik pogrzebowy“. Tłum zakonników w czarnych habitach śpiewa psalmy żałobne... Tajemnica wnet się jednak wyjaśnia, jak wyjaśnia się rychło w „The Antiquary“, co znaczą w St. Ruth, w kościele opuszczonym, w nocy, dziwne mary, światła, śpiewy. U Scotta pomysł przejęty z romansu senzacyjnego.

[2]) Nawet i drobne sposoby podtrzymywania tajemniczości i drażnienia ciekawości czytelnika przejął Bernatowicz od WScotta. Takim sposobem jest wprowadzenie rozmowy szeptem. Ile razy Jawnut, a z nim

Słowem intryga i struktura, środki rozwijania osnowy, obmyślania scen — we wzajemnym związku, moment pobudzający, operowanie półśrodkami, wszystko to jest w „Pojacie“ nawskroś WScottowskie.

U Niemcewicza, jak już z tego, co się powiedziało, wynika, ani o kompozycyi, ani intrydze, pomyślanej na sposób WScotta, mówić nie można, niema też w „Janie z Tęczyna“ WScottowskiego momentu tajemniczości. Natomiast znajdziemy w powieści niektóre motywy kompozycyjne z romansów „wielkiego czarodzieja“.

Nie powiodło się wprowadzenie motywu, w wielu romansach Scotta zasadniczego, a polegającego na wyznaczeniu określonej roli, t. zw. postaci kierowniczej. Bernatowicz zrezygnował z tego środka kompozycyjnego — u niego niema figury napoły tajemniczej, świadomej losów bohatera i kierującej nimi. U Niemcewicza taka figura jest, ale kreacya ta i jej rola uległy jakby załamaniu: najwidoczniej poeta nie uświadomił sobie należycie, czem ma być ta postać, czem ma być w kompozycyi dzieła i jakie ma być jego własne stanowisko wobec tej postaci.

Uzasadnić to twierdzenie nietrudno. Po raz pierwszy poznajemy „osobliwszą niewiastę“ — Apolonia jej na imię — w domu mamki wojewodzica. „Osobliwszy“ także jest wyraz jej twarzy („nieprędko ścierał się z pamięci tych, którzy raz na nią patrzeli“). Przez cały czas rozmowy Tęczyńskiego z mamką „przenikające oczy w twarz jego wlepione miała“ i — co już ma budzić podejrzenia — „wdała się... (z nim) w rozmowę, zręcznie starając się wyczerpnąć rozmaitych życia jego okoliczności“. Tęczyński patrzy na nią z nieufnością, nie mniej jednak, gdy mu poczęła zadawać pytania (czy miał list od księżny d'Abrantes), zdumiał się. Ale czytelnik się nie zdumiewa, formułuje sobie bowiem na poczekaniu

---

czytelnik, mógłby się czegoś dowiedzieć z dyalogu między Trojdanem a Wszeborem. tylekroć zaczynają oni mówić tak cicho, że Jawnut, a z nim znów czytelnik nie mogą w dalszym ciągu przeniknąć tajemnicy Trojdana (II. 9, 10, 11), jakkolwiek pewne wnioski się nasuwają (autor formułuje je w II. 14). Scott często czynił z tego sposobu użytek. W „The Abbot“ Roland słucha rozmowy M. Graeme z przeoryszą Brygidą. Rozmowa przechodzi co chwila w szept niedosłyszalny, ale to i owo potrafi z niej Roland wywnioskować. Podobnie przechodzi w szept rozprawa Mortona z Murrayem ku wielkiemu zmartwieniu — czytelnika, podobnie Tomkins-Halzedine nie może usłyszeć wszystkiego co mówi Henryk Lee z córką w „Woodstock“, podobnie Harry Bertram nie może się zoryentować w niesłychanie ważnej dla niego rozmowie w chacie Merrilies“ (w „Mannering“) i t. d.

tezę, jakimi środkami dochodzi „osobliwsza niewiasta“ do znajomości tajemnic. Wprawdzie słyszy niebawem z ust Teodorowej, że ta „białogłowa... jest coś nieludzkiego“, że ludzie zowią ją wróżką, sama Teodorowa zaś ma ją wprost za czarownicę, pomny jednak tego, że „wróżka“ przed chwilą „zręcznie starała się wyczerpnąć rozmaitych okoliczności życia“ Tęczyńskiego, nie daje się tem zbić z tropu. Natomiast słysząc w dalszym ciągu, że tajemnicza ta postać „ma wszędy przystęp i wielkie znaczenie, uczęszcza tajemnie do wszystkich panów, a nawet do królestw samych“ (46), skłonny jest przypuszczać, że będzie miał do czynienia z typową WScottowską figurą kierowniczą, jak słynna Magdalena Graeme, jak Edie Olchitree, zwłaszcza, gdy widzi wnet Apolonię wychodzącą tajnymi schodami z komnaty wojewody Tęczyńskiego. I tu go spotyka zawód: nic z tego, natomiast Zamojski, wyręczając autora, objaśnia czytelnika, że Apolonia, „hojnie zapłacona (od biskupa Maciejowskiego), chodzi od magnata do magnata, straszy, pochlebia pomyślnem lub niepomyślnem połączeniem gwiazd, aż każdego naprowadzi tam, gdzie potrzeba...“. Ale przynajmniej teraz wie czytelnik, z jakim typem postaci ma do czynienia. Gdzie tam! Nie na długo w każdym razie. Apolonia zaklina Zofię Tęczyńską, by nie opuszczała domu, a po godzinie, paląc zioła na kominie, woła przeraźliwie: „na pomoc jej spieszcie“ — i wtedy to właśnie Zofia dostaje się do niewoli tatarskiej. Więc „osobliwsza niewiasta“ przeczuwa jednak przyszłość i widzi, co się dzieje w odległej stronie, więc mamy tu do czynienia ze zjawiskiem nadnaturalnem, jak w „Bride of Lammermoor“? Ba, kiedy znów bruździ nam Teodorowa, opowiadając Tęczyńskiemu, jako Don Fernandes „tej przeklętej czarownicy, co to wszystko wie i do wszystkiego się miesza, dał ciężki szczerozłoty łańcuch, a od tej chwili baba ta prorokuje, że panna Zofia pójdzie za tego Niemca“ (255).

Ostatecznie zagadka, co to za typ postaci, nie trudna do rozwiązania, trzeba tylko przyjąć dla autora mniej pochlebną tezę, mianowicie, że autor sam nie mógł się zdecydować, kim ma być Apolonia. W założeniu miała to być postać kierownicza, stojąca jednak na usługach nie idei, lecz ludzi. Świadczą o tem i słowa Teodorowej („ma wszędy przystęp“, „do wszystkiego się miesza“) i wizyty Apolonii u wojewody, ale Niemcewicz nie potrafił obmyślić akcyi, w którejby rola Apolonii znamiennie się zaznaczyła. Figura już była, rola jej również — brakło szczegółów roli. I teraz rozpoczął się kłopot autorski: zrobić ją zwykłym wykpigroszem, wróżką

rzekomą, czy wróżką istotną? Ostatecznie została wszystkiem razem, a w rezultacie niczem.[1]) Na każdy sposób sprężyną działania nie jest, na szczegółach kompozycyi romansu nie waży — wbrew zamierzeniom pierwotnym.

Struktura bowiem „Jana z Tęczyna" poszła w rezultacie drogą nie rozgałęziającą się w boczne, tajemnicze, schodzące się z sobą w przewidzianych z góry węzłach ścieżki. Są to przecie po prostu obrazy historyczno-polityczno-obyczajowe, powiązane dziejami miłosnemi bohatera (i jego przyjaciela) — z kilku przygodami. Kompozycyi więc romansu nie można nazwać w całości WScottowską, ale jest ona taką — częściowo, są w niej bowiem, jak wspomnieliśmy, Scottowskie motywy kompozycyjne, nie wszystkie tak zniekształcone, jak motyw postaci kierowniczej.

To, że powieść zaczyna się od przyjazdu bohatera, poczem bohater wyrusza w podróż i podróżuje bez ustanku niemal (do Szwecyi, do Polski, znów do Szwecyi), to motyw znany z szeregu powieści Scotta, choć przez niego przyjęty z romansu przygód.[2])

Na kompozycyę początku dzieła nie pozostały bez wpływu w szczególności trzy romanse WScottowskie: „Waverley" (1814), „Rob Roy" (1817) i „The Pirate" (1822), t. j. te same, które wycisnęły znamienne piętno również na układzie pierwszych ksiąg „Pana Tadeusza".[3]) W romansie pierwszym bohater utworu zajeżdża przed dom przyjaciela rodziny, wita go marszałek dworu, i odtąd jesteśmy świadkami rozmów, uczt, przyjęć, śniadań, polowań, sporów, gawęd przez trzy dni, przyczem akcya naprzód się nie posuwa. Podobnie w „Rob Royu" (tu bohater przybywa do domu stryja, i znów uczty, polowania i t. d.), tudzież w „The

[1]) Niejasność tej postaci zwiększają słowa Barbary, wyrzeczone do króla: „owoż jest, kochany mężu, napój, który mi owa wróżka z Błonia przygotowała. Ksiądz doktor Miechowita, który napoju tego doświadczał, powiada, że jest sporządzony z ziół, które nic w sobie szkodliwego nie mają, lecz trwożą mię gusła, które nad nim ta kobieta czyniła..." i odpowiedź Zygmunta Augusta: „nie lękaj się, nieprzenikłe są tajemnice natury... Nie tylko u nas, we wszystkich innych krajach osobom takim dana jest wiara i przystęp na podwoje królewskie. Używa ich... matka moja, w najoświeceńszym dziś kraju wychowana". A dalej czytamy: „Na wspomnienie to zaćmiło się czoło Barbary. — Najmilsza moja — rzekł Zygmunt August — zasmuca cię imię to, lecz bądź spokojną, matka moja pojednała się z tobą..." Tu występowałaby więc Apolonia w nowej roli, znów niezbyt licującej z temi, w których poznaliśmy ją poprzednio.

[2]) Por. Dibelius, op. c., II. 118.

[3]) Por. PT—WSc, 16 n.

Pirate“ (przyjęcie u Magnusa Troila).[1]) W „Janie z Tęczyna“ bohater przyjeżdża do domu rodziców właśnie w chwili, gdy zjechali się tam goście z powodu imienin. Rano msza w kaplicy, potem śniadanie z wymienieniem dań i szczegółów zastawy (podczas śniadania „spory“), z kolei idą „damy zatrudniać się strojami na obiad i tańce, młódź męska oglądać swoje rumaki, rzędy, łuki i zbroje, sędziwi na prywatne narady“; po naradach spacery po ogrodzie, odgłos trąb, obiad ze szczegółami już przytoczonymi.[2]) W dalszym ciągu zabawy rycerskie młodzieży na dziedzińcu, tańce. Nazajutrz ruch wielki na dziedzińcu, pan Hołysko wyprawia „niezmierne bryki“, młody Tęczyński zas odwiedza konno włoście pobliskie jego gniazdu rodzinnemu. Na trzeci dzień rozmowa z ojcem, na wyprawę z panem Sieniawskim wojewoda nie pozwala, chce syna zatrzymać w domu, „dać poznać braciom szlachcie“, rozmowa z matką... Następna scena to sejmik w Proszowicach. Przez cały ten czas nie zawiązuje się nawet węzeł akcyi, a czytelnik zajęty jest znacznie żywiej Don Alondzem, aniżeli bohaterem powieści.

Spojrzyjmy na inne szczegóły.

Jako środkiem kompozycyjnym posłużył się Niemcewicz w mierze dość znacznej techniką listową. Czy za przykładem WScotta? Rozstrzygnąć trudno. „Lejbe i Siora“ były romansem w listach, ale tam była to technika Richardsonowsko-Russowska, tu, w „Janie z Tęczyna“ przytaczanie listów osób, wplatanie ich w tekst, jako *quasi* dowodów autentyczności fabuły, zgodne jest raczej z praktyką angielskich poprzedników Scotta i jego samego. Tylko, że Scott, używający zresztą tego środka bardzo skromnie, czyni to umiejętnie. Wszystkie listy w „Manner.“ (Manneringa do A. Mervyna, Mervyna do Manneringa i cały szereg listów i wyciągów z listów Julii Mannering do Matyldy Marchmont) spełniają wyznaczone im przez powieściopisarza zadanie, są potrzebne. W „The

[1]) Por. S. Windakiewicz: Prolegomena do „Pana Tadeusza“. Kraków, 1918, str. 146.

[2]) Na przemnogość śniadań i obiadów w „Janie z Tęczyna“ zwrócił (słusznie) uwagę już T. Dzieduszycki w cytowanym artykule. Nie pomylimy się zapewne, wyrażając przypuszczenie, że Niemcewicz poszedł zrazu śladem WScotta, który w „Waverleyu“ n. p. z całą świadomością nie posuwał w pierwszych rozdziałach akcyi naprzód, lecz kreślił obrazy obyczajowe; wszelako nasz autor, zatraciwszy z czasem myśl przewodnią Scotta lub wogóle nie uświadomiwszy jej sobie należycie, z środka, usprawiedliwionego zadaniem, jakiemu ekspozycya romansu miała odpowiedzieć, zrobił szablonową formułkę i nadużył jej niepomiernie.

Hearth of Midl.“ przytacza Scott z kolei w jednym ciągu aż trzy listy Jeanie (do Jerzego Stauntona, do ojca i do Butlera), ale i tam mają one głębokie swe uzasadnienie: świetnie charakteryzują postać bohaterskiej dziewczyny, oświetlają ją z rozmaitych stron. U Niemcewicza bywa rozmaicie. Listów tu sporo: Tęczyńskiego do królewny, cesarza Ferdynanda do króla, wojewody do Cecylii, Cecylii do Tęczyńskiego i t. d. Gdy jednak — może na sposób „The Hearth of Midl.“ — przytacza Niemcewicz z kolei, w całości, także od razu trzy listy, które otrzymał Tęczyński od ojca, od Don Alondza i od panny Stadnickiej, czytelnik pyta się siebie, po co to autor uczynił, skoro we wszystkich listach jest mowa o śmierci Barbary, o napadzie Tatarów, a w dwóch o miłości wojewodzica do królewny. Wystarczyłby zatem zupełnie list jeden.

Nie jedyny to wypadek w powieści, w którym intencya wzoru pojęta została niezupełnie trafnie.

„Szufladki“, z których szeroki użytek kompozycyjny czynił romans mrs. Radcliffe i towarzyszy (u nas Mostowska), a których Scott prawie poniechał, o ile zaś je wprowadzał, to w odmiennem zastosowaniu od szkoły Walpola, w „Janie z Tęczyna“ spotykamy dwie. Pierwsza to spisane przygody Erykowe („Obłąkanie króla Eryka“, 166 n.) odczytane przez Tęczyńskiego, druga to dzieje pastora wyspy Hittern (321 n.). Pierwsza — psująca wątek kompozycyi, i tak niespoistej, najzupełniej niepotrzebna. Gdy Scott w „Kenilworth“ dał wstawkę: opowieść Laurenca, wiedział, dlaczego to czynił. Podobnież świadom był celu w „The Antiquary“.

Bernatowicz w „Pojacie“ systemem szufladkowym nie posłużył się wcale.

* * *

Konstanty Wojciechowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Wychowanka“ Fredry a Goldoniego „La Pamela“ i „Pamela maritata“.

Mieszka sobie w Złoto-górach, a więc prawdopodobnie gdzieś na galicyjskiem Podolu, zamożny szlachcic Pan Hektor Kasper dwojga imion Morderski, który, choć zbrojny w bardzo zabójcze nazwisko, pełnił w czasie ostatniej wojny narodowej czynność wysoce pokojową: dostawiał furaż dla wojska. Ten to pan Hektor, wyposażony od natury w niezwykłe zamiłowanie do manier oficerskich i munduru wojskowego, ale za to w tem słabszy animusz wojenny, uznał w swej skromności za słuszne, by tak wielka zasługa dla Ojczyzny, jak dostawa siana i owsa, nie pozostała bez nagrody i przybrał sobie tytuł... kapitana.

Później przebywszy Wisłę parę razy łódką,
Został w domu m a j o r e m ze spiczastą bródką:
Nareszcie tryumfalnym witany okrzykiem,
Z rzeszowskiego jarmarku wrócił p u ł k o w n i k i e m.
A., I. 4.

Pan Hektor, z woli Bożej dziedzic Złotogór, a z nominacyi własnej i z grzeczności sąsiadów pułkownik, wiódłby sobie teraz spokojne i niefrasobliwe życie, t. zn. jeździłby po jarmarkach, kląłby zamaszyście a z generalska na swą służbę, pobrzękiwałby swemi ostrogami a lękałby się w domu jejmość dobrodziki, słowem wiódłby żywot poczciwego szlachcica XIX. wieku, gdyby nie... grzechy młodości. Albowiem „bywał nadto lekkomyślnym z młodu“, w wielkich łaskach była u niego przed laty żona leśnego Bajduły, „piękną Martą zwana“. Marta zmarła już dawno, ale została pra-

wdopodobnie po niej (bo prawdy, prócz leśnego Bajduły nikt nie zna) dziewczynka Zosia. Ponieważ państwo Morderscy nie mają dzieci, przyjęli tę dziewczynkę na wychowanie. Stało się to więcej z woli pana Hektora, który pochlebia sobie, że ma wobec Zosi obowiązki ojcowskie, aniżeli z chęci pani Reginy, która, choć gra wobec świata rolę czułej, przybranej matki. Zosi w głębi duszy nie cierpi.

I to jest źródłem ustawicznych utrapień pana Hektora. Zosia wyrosła już na piękną, dorodną pannę, pan Hektor pragnie ją wydać za mąż za swego ograniczonego synowca, pana Piotra, i wyposażyć ją Złotogórami, ale do czego innego zmierza pani Regina. Ta zła i przewrotna kobieta stara się udaremnić małżeństwo Zosi za wszelką cenę. W tym celu weszła w porozumienie z Bajdułą, który oddawna zamienił swe tytularne ojcostwo na źródło ubocznych dochodów, wyzyskując zarówno Zosię, jak i jej opiekuna. Z namowy pani Reginy Bajduła już raz nie dopuścił do zaślubin, przysławszy do parafii protest tej treści, że pan Morderski nie ma prawa wydać za mąż Zosi bez jego ojcowskiego pozwolenia.

W chwili, kiedy zaczyna się akcya komedyi, mają się odbyć ponowne zaręczyny z panem Piotrem. Spodziewana zmiana wcale Zosi nie zachwyca. Za pana Piotra idzie nie z miłości, ale dlatego, że tak sobie życzy opiekun. Jej położenie bowiem w domu państwa Morderskich nie jest wcale godnem zazdrości. Choć otoczona dostatkiem, strojami i zabawami, czuje się tutaj nieswojo; nietylko pani Regina i jej siostrzenica Paulina, ale także domownicy, a nawet służba dają jej odczuć przy każdej sposobności, że jest dawną Zośką Bajdulanką, że z łaski dostała się na pański dwór, w którym zwolna przywłaszczyła sobie prawa córki. Prawdziwe współczucie znajduje Zosia tylko u dwu osób: u starego, przywiązanego do niej sługi Szymona i u sąsiada Morderskich, pana Wacława.

Niechęć pani Reginy do swej wychowanki nie ogranicza się jednak na drobnych, codziennych ukłuciach, jej nienawiść zmierza dalej. Przez swe intrygi pragnie Regina Zosię usunąć zupełnie ze swego domu i pozbawić ją możności dziedziczenia Złotogór. W tym celu sprowadziła do siebie siostrzenicę Paulinę, by mogła zająć miejsce po Zosi, w tym celu namawia Hryńka Bajdułę, ażeby w czasie aktu zaręczyn wszedł do sali pałacowej, nibyto celem przebłagania Morderskiego i pobłogosławienia córki, a w istocie po to, by odstraszyć pana Piotra raz na zawsze od starania się nie tyle o Zosię, co o jej posag.

Wszystko już ładnie przez panią Reginę ułożone, ale pan Morderski zbyt długo był mężem swojej żony, by się nie mieć na

baczności. W obawie niespodzianek każe pomocnikowi mandataryusza, panu Narcyzowi, obstawić dwór pachołkami i schwytać Hryńka, gdyby się zjawił. Ostrożność okazała się wskazaną. Przed samą ucztą zaręczynową zjawia się rzeczywiście Hryńko, ale zostaje schwytany i osadzony w ciemnicy przy kancelaryi dominikalnej. Pani Regina, wraz z swą miłą siostrzenicą, strapiła się bardzo tem pokrzyżowaniem swych planów, ale nie traci nadziei. Paulina nie omieszkała powiadomić Zosi o losie Hryńka, licząc na to, że Zosia, zdjęta litością i współczuciem, będzie prosić pana Morderskiego przy gościach o łaskę dla ojca. Zosia jednak, choć jest przerażona i boleje nad tem, co się stało, ostrzeżona przez wiernego Szymona, postępuje inaczej.

Już po uczcie, gdy goście się rozeszli, nie dbając na żadne pozory i względy światowe, przejęta jedynie myślą ratunku uwięzionego ojca, udaje się pokryjomu, nocą, do mieszkania Narcyza i tutaj obietnicą zapłaty, podarunkiem, a wreszcie groźbą uzyskuje klucz od więzienia i wypuszcza Hryńka, który, uciekając, wręczył jej jakieś papiery. Pani Regina, otrzymawszy o tem sprawozdanie od służącego, który z jej rozkazu śledził Zofię, udaje się natychmiast do Narcyza i zastraszywszy najpierw tego tchórzliwego a pretensyonalnego skrybę grożącą mu odpowiedzialnością, daje mu do zrozumienia, iż ratować się może jedynie wyznaniem, że Zosia była u niego na schadzce, przyczem łatwo jej przychodzi wmówić w tego podwórkowego adonisa, że Zosia go naprawdę kocha.

Załatwiwszy się z Narcyzem, pani Regina zabiera się do „egzemplarza głupstwa i podłości", do narzeczonego Zosi, pana Piotra. Podrzuca mu animowy list, w którym przedstawiła w najohydniejszych barwach zachowanie się Zosi minionej nocy, a następnie wpływa osobiście na Piotra, by ze sprawy tej zrobił użytek możliwie głośny. Liczy bowiem na to, że Morderski, przerażony takim „skandalem", wyda pospiesznie Zosię za mąż za Narcyza, a urażonego p. Piotra może ugłaszcze ożenkiem z Pauliną, która, zająwszy wtedy miejsce Zosi, mogłaby dostać i Złotogóry w posagu.

Pan Piotr dał się przekonać stryjence dość łatwo. Zwołuje gości, domowników, przesłuchuje służbę i Narcyza, protokołuje wszystko, słowem: przemienia salon Morderskich w salę sądową, a oszczerstwo Reginy w rozprawę, której przedmiotem ma być uczciwość Zosi (IV. 1, 2, 3). Pani Regina z całem wyrafinowaniem i przewrotnością wzywa Zosię, by zaprzeczyła temu, co mówią.

Gdy Zosia swej bytności w pokoju Narcyza nie zaprzecza, wzbrania się jedynie podać jej przyczynę, pani Regina. udając wielce zgorszoną, odchodzi, pozostawiając swą wychowankę na pastwę podejrzeń ludzkich i na tę torturę moralną, jaką jest dalsza rozmowa z Pauliną. Ta niby postępkiem Zosi się nie gorszy, niby wszystko rozumie i nieszczęśliwej współczuje, a wszystko w tym celu. by tem łatwiej wmówić w nią winę... niepopełnioną. — by od przygnębionej uzyskać choćby cień przyznania się, by otworzywszy przed zrozpaczoną przepaść bez wyjścia. tem łatwiej skłonić ją do przyjęcia z rąk opiekuna choćby marnej jakiejś odprawy wraz z widokami... poślubienia Narcyza (IV. 4).

Wszystko to dzieje się podczas nieobecności pana Morderskiego, który w jakiejś sprawie z domu wyjechał. Oprócz ograniczonego pana Piotra, nikt temu oszczerstwu nie wierzy. Sąsiad, pan Wacław, drwi w żywe oczy z tej przewrotności i intrygi, dwaj domownicy Morderskich, panowie Hilary i Zefiryn, nie wierzą w gruncie rzeczy także. ale uznanie winy lub niewinności Zosi uzależniają od tego, jak na to patrzeć będzie ich chlebodawca, pan Morderski. Jedynie Narcyz pozwolił wmówić w siebie, że Zosia go kocha, przygotował dla niej sążnisty list pełen wyznań miłosnych. Ale z powrotem Morderskiego wszystko się wyjaśnia. Najpierw poczciwy Szymon, dotknięty niegodziwością, jaka spotkała Zosię w tym domu. dziękuje za służbę, co daje p. Morderskiemu dużo do myślenia. Następnie Zosia. zapoznawszy się z treścią papierów. oddanych jej przez Hrynka. odkrywa całą prawdę pochodzenia.

Nie jest wcale córką leśnego Bajduły, a tem mniej jego żony Marty, ale pochodzi ze znakomitej rodziny Barskich. Jej rodzice znaleźli podczas ostatniego powstania schronienie w chacie Bajduły, gdzie pani Barska, powiwszy Zosię, zmarła. Ojciec, wyruszając na wyprawę, z której nie sądzone mu było wrócić, powierzył dziecko wraz z papierami rodowymi Bajdule, z poleceniem odwiezienia dziecka do domu babki pod Krzemieńcem.

Odkrycie to jest niespodzianką nietylko dla Zosi. ale i dla pana Hektora. który poznaje, że był dudkiem przez szereg lat, że Bajdułowie, podawszy obce dziecko za swoje, wmówili w niego obowiązki ojcowskie, by wyzyskiwać jego łatwowierność. Zawstydzeniem oszczerców i oddaniem ręki Zosi panu Wacławowi kończy się sztuka.

Tak mniej więcej przedstawia się treść „Wychowanki".

Komedya ta, pisana gdzieś w latach między 1855 a 1858 [1]), „dla szuflady“, a więc ogłoszona drukiem i wystawiona dopiero po śmierci poety, nie jest wcale arcydziełem fredrowskiem, ale mimo swych wielu niedostatków nie zasługuje wcale na to, by zaliczać ją do najsłabszych dzieł poety.

Jej wielką, a niedość ocenioną zasługą jest to, że przekazała nam żywo i z dużą siłą komicznej plastyki dwa zaginione już okazy naszego smutnego, porozbiorowego życia. Jeden z nich to pocieszny typ samozwańczego oficera, unieśmiertelniony w postaci pana Morderskiego. drugi to doskonała, w szekspirowskim stylu utrzymana, postać drobnego dominikalnego urzędniczka z czasów Kriega czy Stadiona, nazwana panem Narcyzem. Jeżeli obok tych dwu kapitalnych postaci postawimy takie podrzędne, a jednak wykończone i prawdziwe. jak starego sługi Szymona, jak dwu domowników-pasorzytów Hilarego i Zefiryna, jak nieocenionej „życzliwej“ sąsiadki pani Szczekalskiej, jeżeli sobie przypomniny wreszcie z taką prawdą skreślone sceny, jak owa przy stole karcianym, jak zachowanie się rozwydrzonej służby (II. 1), jak toasty (II. 10). jak cały wreszcie akt III., rozgrywający się w mieszkaniu Narcyza, to przyznać musimy, że dawna *vis comica* Fredry nie straciła nic na swej sile.

Obok tych zalet trudno nie spostrzedz i wad „Wychowanki“. Wybrany przez poetę temat jest, jak na komedyę, za poważny. a raczej za mało przystosowany do tych ram komicznych, w które go włożył poeta. Tytułowa rola Zosi, już przez sam wybór tematu patetyczna, jest jeszcze obciążona pierwiastkami deklamatorskimi (I. 2, IV. 4, 5). Postaci ujemne, jak Regina i Paulina, są skreślone z dużą a zupełnie niepotrzebną przesadą, przypominającą zanadto „czarne charaktery“ melodramatu.

Co szczególnie obniża wartość „Wychowanki“, to wadliwa budowa tej komedyi. Jej akcya zbyt skomplikowana i zawiła, jej poszczególne zdarzenia, niedostatecznie umotywowane lub przyczynowo z sobą niezwiązane, każą nam zapomnieć, iż mamy przed sobą dzieło autora, który w szeregu dzieł takich, jak „Mąż i żona“,

---

[1]) Czas ten opieram na autopsyi autografu. przechowanego w archiwum Maryi hr. Szembekowej w Siemianicach (Syg. L. 7/R.). Kodeks ten nosi tytuł: „Dzieła. Tom VII.“ i zawiera: 1. „Wychowankę“, 2. „Dwie blizny“ i 3. „Żenić się — nie żenić?“ (późniejsze „Ożenić się nie mogę“). Ostatnia z tych komedyi opatrzona datą 1858 roku.

„Śluby panieńskie“, „Zemsta“, „Dożywocie“ czy „Wielki człowiek“, dał tak świetne i proste rozwiązania problemów konstrukcyjnych. W „Wychowance“ natomiast nadmiar szczegółów mało prawdopodobnych, dużo momentów akcyi organicznie i przyczynowo z sobą niepowiązanych.

Tak na przykład nie jest jasnem, dlaczego pani Regina, która trzęsie i domem i mężem (I. 4), tak długo godziła się na pozostawanie niecierpianej wychowanki w swym domu, a zwłaszcza dlaczego pozwoliła jej wchodzić zwolna w prawa córki, dlaczego wreszcie, kiedy postanowiła ją usunąć, nie zmierza do tego otwarcie, ale ucieka się do skrytego a tak skomplikowanego aparatu intrygi, jak knowanie z Narcyzem i Piotrem? Dlaczego łatwowierny Piotr, uwierzywszy oszczerstwu, nie zwraca po prostu Zosi słowa i pierścionka, ale urządza rodzaj sądowego śledztwa, przesłuchuje świadków, spisuje protokoły i t. d.? Dlaczego Zosia, otrzymawszy jeszcze w nocy przy uwolnieniu Hryńka owe decydujące dla niej papiery (z pewnością wraz z informacyą co do ich treści) nie zagląda do nich tak długo i nie robi z nich użytku, ale pozwala, że ją przez całe dalsze dwa akty podejrzewają, indagują i wystawiają na zniewagi? Skąd to niespodziewane i akcyą komedyi nieprzygotowane oddanie ręki panu Wacławowi? Poco poeta już przy zbliżającem się rozwiązaniu komedyi wprowadza jeszcze miłosne aspiracye Narcyza do Zosi (V. 2, 6), skoro to już najmniejszego nie wywiera wpływu na dalszy tok komedyi?

Jeżeli nawet pominiemy rozwiązanie, oparte na niespodzianem odkryciu, a więc przedstawiające dość przestarzały i zużyty środek rozwiązania dramatycznego węzła, to same wyżej przedstawione ułomności tej sztuki dowodzą, że na pomysł „Wychowanki“ złożyć się musiały pierwiastki mało spójne, dość sprzeczne i odległe od siebie. Nabieramy przekonania, że autor, ulegając przemożnej jakiejś pokusie artystycznej, starał się koniecznie przetopić je na pomysł jednolity — ale tego, czy to z braku wytrwałości, czy z autorskiej słabości dla szczegółów, zasługujących na usunięcie, czy też może przez proste zlekceważenie swego dzieła — nie dokonał.

Natura kompozycyjnych i wogóle dramatycznych niedostatków „Wychowanki“ ujawni się wyraźniej, gdy rozważymy proces powstania tego dzieła, gdy uprzytomnimy sobie wzajemne odnoszenie się czynników, które na całość się złożyły.

Pierwsza pobudka, która popchnęła wyobraźnię poety do zajęcia się tym tematem, pochodzi nie ze źródła literackiego, ale

z życia. Córka poety, Zofia hr. Szeptycka, zapisuje taką ciekawą wiadomość o powstaniu tego dzieła w swych pamiętnikach [1]):

„Nie uroczą, choć z gruntu poczciwą akwizycyą na tę zimę [w Wiedniu 1850/1] byli państwo baronostwo N. N... [2]) z M. — ona z domu X., — zamieszkali pierwsze piętro domu, w którym myśmy wysoki entresol mieli. Ludzie ogromnie bogaci, ofiarni i usłużni, ale stanowczo nie do obwożenia po Europie. Ona zawsze w jedwabnych, powłóczystych sukniach, brylantach i perłach, różująca się na wieczory i grubym głosem mówiąca... dziwnie nieciekawie.

Oboje przepadali za wychowanicą Heleną, dzieckiem kowala, którą psuli jakby jedynaczkę. Wydali ją później za Y., a po śmierci biednego N. rozgrywały się dramata o spadek jego, tak, że z tych dramatów rodzinnych mój Ojciec wziął i bardzo wyidealizował i osobę i dzieje swej „Wychowanki“, sztuki, na której kiedyś muszą się ludzie poznać pomimo ostrej krytyki prof. Tarnowskiego.“

Proste porównanie przytoczonych tutaj szczegółów z treścią „Wychowanki“, przekonywa, że sztuka Fredry nie jest jednak wcale literackiem opracowaniem i adoptacyą zdarzeń, które rozegrały się w rzeczywistości, ale że od tej rzeczywistości pod wielu względami zasadniczo odbiega. Trudno bowiem dopatrzyć się jakiegoś pokrewieństwa między śmiesznymi może, ale z gruntu „poczciwymi, ofiarnymi i usłużnymi“ baronostwem N. N. a państwem Morderskimi, a zwłaszcza z przewrotną i nikczemną panią Reginą. Zasadniczo różnem jest odnoszenie się przybranych rodziców do wychowanki w życiu a w sztuce. Podczas gdy pan Hektor traktuje Zosię dość obojętnie (V. 5 w. 5), a pani Regina jej wprost nienawidzi i działa na jej szkodę, to oni N. N. „przepadali za swą wychowanicą i psuli ją jakby jedynaczkę“.

Gdyby tak było, jak to zapisała córka poety w swych cennych pamiętnikach, że poeta „wziął i osobę i dzieje swej wychowanki“ z tych zdarzeń, to treść „Wychowanki“ koncentrowałaby się bardziej około tych walk o spadek, byłaby może nie ko-

[1]) Zofia hr. Szeptycka: „Wspomnienia lat ubiegłych“ — autograf w posiadaniu p. Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach str. 377—379 *passim*.

[2]) Nazwiska oryginału pomijam.

medyą, ale dramatem rodzinnym w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie zawierałaby może wcale owych wysiłków około schwytania czy uwolnienia Hryńka, nie byłoby wcale historyi z papierami rodowymi, nie istniałaby tutaj prawdopodobnie wcale kwestya uczciwości Zosi i jej odnoszenia się do Narcyza. Wszystkie więc te szczegóły, odgrywające w „Wychowance“ rolę główną, a dla całości dzieła niezawsze korzystną, wzięły się tam nie z życia, ale skądinąd.

Mamy dość dużo podstaw do przypuszczenia, że losy owej rzeczywistej wychowanki państwa N. N. dostarczyły poecie nie wątku do literackiego opracowania, ale nastręczyły mu jedynie pobudkę, dały podnietę do podjęcia takiego pomysłu. Z chwilą jednak, gdy ta podnieta już raz uruchomiła wyobraźnię poety, poczęły losy rzeczywistej wychowanki dzięki niektórym swoim szczegółom (jak n. p. ubogie pochodzenie, przywiązanie przybranych rodziców, ciężki los po ich zgonie) kojarzyć się w umyśle poety dość ściśle ze znanemi mu już na długo przedtem zdarzeniami nie życia, ale literatury i wywoływały nieodparte oddziaływanie owej literackiej treści na cały zarys pomysłu.

Tę podobną treść literacką znał poeta jeszcze z czasów pierwszego okresu swej twórczości, z czasu „Odludków“, „Przyjaciół“ [1]) i „Ślubów“, a znał ją z dwóch sztuk Goldoniego, noszących niebardzo właściwą nazwę komedyi a zatytułowanych: „La Pamela“ (znana bardziej pod tytułem „Pamela fanciulla“ = Pamela panną) i „Pamela maritata“ (Pamela zamężna). [2])

Goldoni, zachęcony poczytnością i rozgłosem słynnego angielskiego romansu Samuela Richardsona p. t.: „Pamela czyli cnota

---

[1]) Oddziaływanie Goldoniego na „Przyjaciół“ wykazał w gruntownej i cennej rozprawie dr. Wł. Günther: „Ze studyów nad twórczością Fredry“ (Bibl. warsz., 1913. T. I., zeszyt 1, str. 36—87). Sprawę oddziaływania Goldoniego na inne komedye obiecuję sobie poruszyć w osobnej rozprawie „Goldoni a Fredro“.

[2]) Że komedyę Goldoniego „Pamela zamężna“ znał Fredro jeszcze w czasie tworzenia „Ślubów“, tego dowodzi scena 1 aktu IV. „Ślubów“ (obwiązywanie ręki), gdzie Gustaw przejęty głęboko tokiem własnej myśli, uparcie chodzi po pokoju, mówi sam do siebie i zdaje się tracić z oczu swego służącego. Scena ta jest odbiciem sceny 1, aktu II. z „Pameli zamężnej“, gdzie lord Bonfil, również głęboko przejęty własnemi myślami i zamiarami, chodząc po pokoju, rozmawia z sobą i zapomina o obecności służącego Izaka, którego co chwilę woła jako nieobecnego. Przytaczam tę scenę w polskiem tłumaczeniu:

nagrodzona“ (1740) postanowił przerobić go na sztukę teatralną. Z tego przedsięwzięcia wywiązał się wcale dobrze, zdaniem krytyków XVIII. w., nawet lepiej, niż współcześni francuscy przerabiacze Richardsona (La Chaussée: „Paméla“, Voltaire: „Nanine“). Jego „Pamela“, wystawiona po raz pierwszy w r. 1750, w Mantui, podobała się ogólnie, przekroczyła potem granice Włoch i w nieco zmienionej postaci była grana także na scenach francuskich p. t. „Paméla française“. Treść tej dramatycznej przeróbki Goldoniego przedstawia się następująco:

Lady Bonfil przyjęła na swój dwór jako służącą córkę ubogich rodziców, Pamelę, którą kochała i traktowała jak córkę. Po śmierci matki młody lord Bonfil ma się opiekować Pamelą nadal, ale niezwykła piękność pupilki, jak i wysokie zalety jej charakteru sprawiły, że młody pan pokochał ją namiętnie. Z początku stara się pozyskać ją sobie podarunkami, a nawet pieniądzmi, ale gdy to nie prowadzi do celu, poczyna w nim coraz bardziej kiełkować myśl poślubienia byłej służącej swej matki. W duszy młodego lorda toczy się odtąd ciężka walka wewnętrzna, która jest bolesnem zmaganiem się obowiązków i względów towarzyskich z niezaspokojonemi prawami serca.

Walkę tę zaostrza oddziaływanie osób drugich. Siotra lorda, lady Daure, nienawidzi Pameli z całej duszy i pragnie ją z domu młodego lorda usunąć. Od małżeństwa z Pamelą odwodzi Bonfila z pobudek bezsprzecznie szlachetniejszych także lord Artur, który usiłuje wystawić przyjacielowi wszelkie niepożądane następstwa i przykrości, jakie tak niestosowne małżeństwo mogłoby pociągnąć dla niego, jego dzieci i przyszłej żony. Przekonany tem, lord Bonfil

---

Akt II., scena 1: Milord Bonfil, potem Izak:

Bonfil *(chodzi głęboko zamyślony, potem woła)*: Hej! jest tam kto?

Izak: Do usług!

Bonfil *(do siebie)*: Nie chciałbym porzucać postanowienia. *(Chodząc dalej)*. Będę zmierzał ostrożnie do celu; jednak Pamela nie zobaczy mię, dopóki nie będę zupełnie upewniony. Czar jej oczu mógłby mię łatwo uwieść. *(Woła, chodząc dalej)*: Hej! Jest tam kto?

Izak *(nie ruszając się z miejsca)*: Do usług!

Bonfil *(do siebie, chodząc bez ustanku)*: Miłość moja przemawia jeszcze na korzyść tej niewdzięcznej. Tak, dobrze, tak postąpię! Rozmówię się z lordem Arturem. Zdawał mi się zawsze człowiekiem godnym. Spróbuję lepiej go wybadać. *(Głośno)*: Hej! Jest tam kto?

Izak: Do usług!

postanawia odesłać Pamelę do jej ubogich rodziców, a sam celem uniknięcia bolu rozłąki wyjeżdża do przyjaciela na wieś. Pod nieobecność lorda wpada do jego domu siostra, lady Daure, wraz z swym siostrzeńcem, Ernoldem, pozorniem po to, by zabrać Pamelę do siebie, a właściwie w tym celu, by zrobić z niej kochankę Ernolda. Ponieważ to się nie udało, oboje starają się przynajmniej zniewagami powetować sobie na Pameli swą porażkę.

Tymczasem lord Bonfil wraca i zastaje w swym domu starego ojca Pameli, Andreuve, który przybył, ażeby zabrać córkę do siebie. Następuje piękna scena spotkania ojca Pameli z jej ukochanym. Gdy sędziwy ojciec przekonał się o szczerości uczuć młodego lorda i o przeszkodzie, która nie dozwala mu na poślubienie Pameli, zdradza tajemnicę, ukrywaną przez lat trzydzieści. Jego właściwe nazwisko jest nie Andreuve, ale hr. Auspingh. Był dowódcą w ostatniem powstaniu Szkocyi przeciw protestanckiej Anglii. Gdy sprawa została przegraną, schronił się w góry i żył tam nieznany jako prosty wieśniak. Przedstawia dokumenty, stwierdzające prawdziwość jego twierdzeń, prosi tylko lorda o wyjednanie mu przebaczenia królewskiego. Ponieważ nikt nie wątpi w ułaskawienie, lord Bonfil przedstawia wszystkim Pamelę jako hrabiankę Auspingh i przyszłą swą żonę.

Taką jest treść pierwszej z omawianych sztuk Goldoniego. Posiada ona także swoje wady. Charakter lady Daure, ujemny aż do trywialności (gdy chce pozbawić Pamelę życia, I. 20, II. 16; gdy chce ją policzkować, II. 12), jest za mało pogłębiony i psychologicznie nieumotywowany. Satyryczna wycieczka przeciw podróżomanii i uwielbieniu cudzoziemczyzny (zawarta w wizycie Ernolda, tamże złośliwe aluzye pod adresem *commedia dell arte*, I. 16) stanowi niemiłą w dramacie epizodyczną dygresyę. Pozatem trzeba jednak przyznać, że Goldoni bardzo szczęśliwie uniknął wszystkich niebezpieczeństw, jakie nastręczać mogło transponowanie na dramat romansu sentymentalnego, przeładowanego liryzmem, pełnego wylewów uczuciowych i refleksyj moralizatorskich. Cały interes sztuki skupił około walki duchowej Bonfila, który stał się przez to właściwym bohaterem w miejsce Pameli. Na tem skoncentrowaniu treści i przesunięciu środka ciężkości wyszła sztuka Goldoniego bardzo dobrze. Choć nie stała się komedyą, pozostała doskonałym na swój czas (wszak to dopiero pierwsza doba kiełkowania nowoczesnego dramatu!) dramatem psychicznym i dlatego cieszyła się szeroką a zasłużoną wziętością.

Zachęcony powodzeniem tej sztuki, Goldoni w kilka lat później dorobił do niej ciąg dalszy p. t. „Pamela zamężna“. Sztuka to o całe niebo niższa od pierwszej, o czem przekonać może nawet bardzo pobieżna jej treść:

Zaślubiwszy lorda Bonfil, Pamela żyje w domu męża szczęśliwa i kochana. Jedynem jej strapieniem jest sprawa ułaskawienia ojca, hr. Auspingh. Sprawa ta przyjęła obrót niepomyślny z powodu nowego powstania w Szkocyi. Wierny przyjaciel Bonfila, lord Artur, ma się starać o poparcie u dworu. Kiedy Pamela omawia tę dyskretną sprawę z Arturem, przyszedł z wizytą Ernold, a nieprzyjęty przez panią domu, wchodzi natarczywie do salonu. Zastawszy tutaj Pamelę samą z Arturem, tłumaczy to sobie w swej złośliwości i głupocie jako schadzkę. Podejrzenie swe wypowiada nietylko w obecności Artura, który go z tego powodu wyzywa, ale także przed lordem Bonfil i lady Daure. Ta, nienawidząc Pameli z całej duszy, stara się ją przed mężem oczernić i zachwiać w nim wiarę w prawość żony. Bonfil wprawdzie od razu wiary temu nie daje, ale pierwsze zarzewie podejrzenia już rzucone. Chcąc przeszkodzić możliwemu spotykaniu się z Arturem, Bonfil postanawia wyjechać z żoną na wieś. Gdy Pamela przyjęła niechętnie ten wyjazd, bo grozi on dalszą zwłoką w sprawie ojca, Bonfil posądza ją już, że martwi ją niemożność widywania Artura. Podejrzenie to zamienia się w pewność z chwilą, gdy Pamela, mając wyjechać z Londynu, pisze list do Artura, w którym poleca jego pamięci sprawę ułaskawienia. Ponieważ jest to ciągle jeszcze tajemnicą rodzinną, Pamela stylizuje list tak ogólnikowo, że jego treść można było sobie rozmaicie tłumaczyć. Bonfil przejął ten list od służącego, a treść niewyraźna utwierdziła go w mniemaniu, że żona utrzymuje potajemnie stosunki z Arturem.

Ojciec Pameli, hr. Auspingh, dowiedziawszy się o podejrzeniu, rzuconem na córkę, decyduje się na krok ryzykowny: pomimo, że jeszcze niema ułaskawienia, udaje się osobiście na dwór królewski i zdradza, kim jest. Liczy bowiem na to, że król, choćby go miał ukarać za dawną nielojalność, nie odmówi mu, jako prawemu szlachcicowi, pomocy w oczyszczeniu z podejrzenia czci jego córki.

Tymczasem w domu męża przeżywa Pamela wszystkie katusze oszczerstwa i potwarzy. Na prośbę swej ochmistrzyni decyduje się na rozmowę z lady Daure, ażeby ją przekonać o swej bezwinie. Wszystko na próżno! Ta przewrotna i nikczemna kobieta czyha tylko na to, by Pamela rozwiodła się z mężem i ustąpiła z jego

domu. W rozmowie z Pamelą stara się wmówić w nią winę, a gdy to się nie udaje, jeszcze ją znieważa. Ernold, korzystając z przygnębienia Pameli, stara się swemi zalecankami narzucić się jej na pocieszyciela. Lord Bonfil uporczywie trwa w swem podejrzeniu, nie wzruszają go ani błagania i tłumaczenia Pameli, ani też szczere współczucie dla niewinnej, okazywane przez starego marszałka jego dworu, Longmana. Wreszcie prośba ojca zrobiła swoje. Z rozkazu króla zjawia się wysłannik sekretarza stanu, p. Majer; gromadzi w salonie Bonfila wszystkich interesowanych, oskarżycieli i świadków, przeprowadza rodzaj poufnego sądowego dochodzenia, które wykazuje zupełną niewinność Pameli. Sztuka kończy się zawstydzeniem potwarców i podaniem do wiadomości obecnych ułaskawienia hrabiego Auspingh.

Ten ciąg dalszy „Pameli“ wypadł o wiele słabiej od pierwszej sztuki Goldoniego. Intryga to zawiła, momenty akcyi mało prawdopodobne, oparte jedynie na naiwnych pozorach, a choć autor tu i ówdzie stworzył scenę o dużym teatralnym efekcie (rozmowa Pameli z mężem, III. 13; łzy Longmana, III. 14), w całości dał dzieło anemiczne i ciężkie. Zasadniczy punkt wyjścia w tej sztuce, podejrzenie Bonfila względem żony umotywowane nadzwyczaj powierzchownie. Bonfil, który tak dobrze zna całą płaskość Ernolda, jak i zjadliwość swej siostry, postępuje zanadto nieprawdopodobnie, dając posłuch ich oskarżeniom, a nie przyjmując wyjaśnień przyjaciela, który niczem dotychczas nie zawiódł jego zaufania. Dziwne i to, że taki gentelman, jak lord Bonfil, pozwala sobie na *shoking* tak gruby, jak przechwytywanie listu żony, że następnie poznawszy jego treść, wysnuwa zeń wnioski tak mało usprawiedliwione całym charakterem i dotychczasowem zachowaniem się Pameli. Scena miłosnych aspiracyj Ernolda do Pameli niesmaczna i zbyteczna. Samo zaś rozwiązanie (ingerencya królewska), choć może w sumieniu włoskiego autora usprawiedliwione równie nienaturalnem rozwiązaniem molierowskiego „Świętoszka“, dowodzi, że autor zbyt poplątanej akcyi w sposób naturalny rozwikłać nie mógł i musiał się uciec do środka zewnętrznego, do misyi p. Majer.

Przypuszczam, że już samo streszczenie obu sztuk Goldoniego pozwoliło czytelnikowi wyróżnić te partye i motywy goldoniowskie, które przeszły do pomysłu „Wychowanki“, a więc te, które przy obmyślaniu jej układu musiały się narzucać autorowi polskiemu szczególnie natarczywie. Zestawienie obu sztuk Goldoniego z „Wychowanką“ pozwala prócz tego na podkreślenie jednej rzeczy już

teraz widocznej. mianowicie nasuwa ono uwagę, że oba dzieła włoskie oddziaływały nierównomiernie na polski pomysł, że rolę główną w tem oddziaływaniu odegrała (na nieszczęście właśnie!) słabsza ze sztuk Goldoniego, t. j. „Pamela zamężna“, co nie mogło pozostać bez wpływu na estetyczną wartość polskiego dzieła.

Pozostaje nam teraz zebrać poszczególne punkty styczne i omówić rolę przejętych motywów w pomyśle fredrowskim.

1) Samo jądro w pomyśle „Wychowanki“, to jest kolizya dramatyczna Zosi, która, ratując swego mniemanego ojca z niebezpieczeństwa, staje się przez to ofiarą podejrzenia i oszczerstwa, jest wyraźną adoptacyą z „Pameli zamężnej“. Fredrowska Zosia to Pamela, która, chcąc ratować ojca, musi się znosić z Arturem, jak tamta z Narcyzem, i przez to naraża swą cześć na podejrzenia i oszczerstwa niegodziwych ludzi. Polski autor, przyjmując ten pomysł, zdołał uniknąć dużo nieprawdopodobieństw goldoniowskich, ale w swojej koncepcyi stworzył sobie nowy szkopuł.

Oto przyjąwszy raz jako założenie w swej sztuce, że Bajduła nie jest ojcem Zosi i pozwoliwszy domyślać się tego widzowi (I. 6, 8; II. 1), odebrał postępowaniu Zosi cały czar odruchowego poświęcenia i instynktowego bohaterstwa, w jakie ubraną była Pamela Goldoniego, narażając się dla rzeczywistego ojca. U Fredry brak poświęceniu Zosi dostatecznej — że się tak wyrazimy — psychicznej racyi. Poznawszy bowiem poprzednio Bajdułę jako opoja i włóczęgę, „naciągającego“ swą rzekomą córkę, nie możemy się powstrzymać, by nie przypisać postępowaniu Zosi innych motywów, jak wstręt i chęć pozbycia się tego odrażającego indywiduum. A tymczasem autor (pod wpływem tamtego dzieła!) usiłuje w nas wmówić, że to miłość kieruje krokami poświęcającej się córki! Każe jej przemawiać do Narcyza drżącym od wzruszenia głosem Lilli, błagającej Gwinonę o ratunek dla ojca:

Jeśli masz jeszcze ojca, matkę, siostry, braci,
Bóg tobie szczęściem wszystkich stokrotnie odpłaci,
Błogosławieństwo zeszle... w łasce będzie chować.
Żeś ojca biednej córce dopomógł ratować.
(III. 2).

Stąd-to powstaje ów dziwnie przykry dysonans „Wychowanki“. Takie przykre, niemiłe wrażenie wywoływać musi widok zmarnowanego, źle użytego poświęcenia!

Ta ułomność artystyczna „Wychowanki“ nie jest jednak pozbawioną zupełnie znaczenia, gdy spojrzymy na nią z historycznego stanowiska. Owo, nie mające analogii u Goldoniego, wprowadzenie

Bajduły obok Zosi, owo wiązanie losów dziewczyny szlachetnej i pełnej poświęcenia z awanturniczą dolą włóczęgi i pijaka zdradza już pokusę artystyczną nowszego typu, jest wyrazem tego charakterystycznego dla literatury nowszych czasów zamiłowania w silnych kontrastach (drastyczność). Przyznać jednak trzeba, że wykonanie nie stanęło tutaj na wysokości nastręczającego się zadania.

2) Drugim motywem, który z Goldoniego przeszedł do „Wychowanki", to rozwiązanie, polegające na niespodzianem odkryciu prawdziwego pochodzenia bohaterki. Jest ono wzięte z rozwiązania pierwszej sztuki Goldoniego, t. j. z „Pamela panną". Jak tam Pamela, tak tutaj Zosia okazuje się latoroślą znakomitego rodu i córką ojca, walczącego za wolność swej ojczyzny, zmuszonego do ukrywania się i powierzającego dziecię ludziom obcym. Podobnie jak Jan Barski „załącza wszystkie papiery, dowodzące nasz stan i jej (Zosi) urodzenie" („Wychowanka", V. 4) — tak samo ojciec Pameli wskazuje na pergaminy, w których „spisane prawdziwe tytuły, utracone lenna i parantele domu, który był jednym z najgroźniejszych w Szkocyi" („Pamela panną", III. 6). O ile jednak tego rodzaju zakończenie nie rozwiązywało istotnie sztukę Goldoniego, gdzie jądro konfliktu skupiało się w zagadnieniu: poślubić. czy nie poślubić dziewczynę nizkiego urodzenia, o tyle w „Wychowance" zakończenie takie właściwie niczego nie rozwiązuje. Albowiem mniemane nizkie urodzenie Zosi wcale nie przeszkadzało dotychczas panu Piotrowi starać się... o jej posag i nie o urodzenie, ale o cześć Zosi idzie rzecz główna w sztuce Fredry. W ten sposób pod wpływem obcego dzieła polski autor stracił z oczu kwestyę zasadniczą, którą zbył kilku półsłówkami Wacława (V. 9), a zajął się kwestyą drugorzędną. Przykład ten lepiej od wszelkiego rozumowania ujawnia wady kompozycyi i uzasadnia to. co powiedziano wyżej o rozbieżności poszczególnych motywów w tem dziele.

3) Innym motywem przejętym z Goldoniego to owa forma rozprawy sądowej, na jaką pozwala sobie ograniczony Piotr, wytaczając przed forum sprawę czci Zosi (IV. 1. 2. 3). Jest ona odbiciem analogicznych scen z „Pameli zamężnej" (III. 15. 16), mianowicie poufnego dochodzenia, przeprowadzonego w domu Bonfila przez pana Majera. Podkreśliłem już wyżej, jak nienaturalnie i sztucznie wypadła ta partya u Goldoniego, gdzie miała pełnić ważną funkcyę rozwiązania. Użycie tego rodzaju sceny przez autora włoskiego tłumaczy, choć nie usprawiedliwia, ten fakt, iż był on ze studyów swych i z zawodu (zwłaszcza z „zawodu", a nie z powołania)... adwokatem. Pokpiwszy więc jako dramaturg sprawę

swej scenicznej klientki, Pameli zamężnej, postanowił sobie radzić jak prawnik, jako były *avvocato veneto*.

U Fredry dochodzenie pana Piotra traci nieco z tej goldoniowskiej prawniczej sztuczności, a to głównie z tego powodu, że polski autor nie powierzył tym scenom ważnej w dramacie funkcyi rozwiązania. Mimo to ta forma sądowego śledztwa pozostała nienaturalną, jej obecność w utworze Fredry trudno wyprowadzić z jakiegokolwiek własnego założenia autora, a położyć ją trzeba na karb prostego naśladownictwa. Uzasadnieniem bowiem zbyt błahem i powierzchownem jest zaznaczenie autora w pewnem miejscu, iż pan Piotr był „praktykantem rok i trzy miesiące“ (IV. 1).

4) Dalszym wynikiem goldoniowskiego oddziaływania są postaci Reginy i Pauliny, i to nie tyle ze względu na swój charakter, ile na rolę, jaką odgrywają w intrydze „Wychowanki“. Obie one powstały przez rozszczepienie roli lady Daure w ten sposób, że główny ciężar zadań tej czarnej postaci kobiecej przypadł w udziele pani Reginie, a Paulina pozostała w cieniu jako postać drugorzędna i uboczna. Podobnie jak lady Daure starała się udaremnić poślubienie Pameli przez lorda Bonfil („Pamela panną“, I. 20), tak pani Regina używa wszelkich środków, by do zaręczyn Zosi z panem Piotrem nie dopuścić („Wychowanka“, II. 2. 3). Jak tamta wprowadza Ernolda („Pamela panną“, II. 12), by skompromitować godność panieńską Pameli, tak pani Regina podstępnie wysuwa postać Narcyza i wmawia weń miłość Zosi, byle ją w oczach ludzkich poniżyć („Wychowanka“, III. 5). Jak tamta dokładała wszelkich starań, ażeby podtrzymać u ludzi wiarę w oszczerstwo rzucone na Pamelę („Pamela zamężna“, I. 8), a później usiłowała wmówić winę w swą bratowę („Pamela zamężna“, III. 10), podobnie postępuje Regina do spółki z Pauliną wobec Zosi („Wychowanka“, IV. 2, 3, 4).

Wprowadzając jednak wzorem goldoniowskiej lady Daure rolę Reginy do swej sztuki, nie ustrzegł się Fredro dużej niekonsekwencyi. Polega ona na tem, że Regina, przedstawiona w kilku miejscach „Wychowanki“ jako *hic mulier*, rządząca p. Morderskim i trzymająca go pod pantoflem („Wychowanka“, I. 4, 6; V. 9), postępuje tak, jakgdyby się musiała z mężem liczyć, jakgdyby się go obawiała i ukrywać musiała przed nim swe machinacye. Dzieje się to dlatego, że pani Regina powtarza ślepo rolę lady Daure, która swojej woli wobec brata otwarcie i jawnie przeprowadzić ani nie mogła, ani nie śmiała. Stąd-to powstaje w „Wychowance“ owa dziwna i nieprawdopodobna sytuacya, że pani domu, trzyma-

jąca w swej dłoni ster władzy, nie okazuje tej władzy wcale w zabiegach o pozbycie się niemiłej wychowanki, ale ucieka się do intrygi ukrytej i podstępnej.

5) Odnośnie do analogij, zachodzących między postacią Narcyza z „Wychowanki“ a Ernolda z obu sztuk włoskich, zauważyć należy, że są to podobieństwa funkcyj i ról, a nie wizerunków. Jakkolwiek u obu odnaleźć można pewne rysy wspólne (n. p. kochliwość, przesadne pojęcie o własnym rozumie), w całości są to charaktery zupełnie odmienne, różniące się nietylko odrębną treścią duchową i przynależnością do rozmaitych środowisk — ale także formą literackiego wykonania. W miejsce stereotypowej, niezdarnej i powierzchownej postaci fircyka Ernolda dał Fredro w Narcyzie kreacyę nawskróś oryginalną, wziętą nie z papierowych wzorów, ale zaobserwowaną z warunków ówczesnego galicyjskiego życia i wykończoną w szczegółach.

Pomimo różnic charakterów obie postaci spełniają jednak funkcye analogiczne. Narcyz podobnie jak Ernold („Pam. panną“, II. 12), daje się użyć za narzędzie intrygi, zmierzającej do skompromitowania bohaterki („Wych.“, III. 5); podobnie jak tamten pomaga przez swą głupotę i łatwowierność do utrwalenia się niesłusznego podejrzenia („Pam. zam.“, I. 6 — „Wych.“, IV. 1, V. 1) i, podobnie jak on, narzuca się niewinnej ofierze ludzkiej podłości ze swemi zalotami („Pam. zam.“, III. 11 — „Wych.“, V. 2, 6).

6) Jak postaci Reginy i Pauliny powstały przez rozszczepienie roli lady Daure, tak naodwrót znowu postać wiernego i przychylnego bohaterce starego sługi Szymona powstała przez złączenie w jedną dwu analogicznych postaci goldoniowskich, t. j. starej ochmistrzyni na dworze Bonfila *(governante)*, pani Jeure i marszałka jego dworu *(maggiordomo)*, starego Longmana. Rola Szymona przedstawia zupełną analogię z rolą obu tych postaci w dwu sztukach Goldoniego: Szymon, równie jak one, jest powiernikiem bohaterki, osłania ją przed ciosami zawistnej intrygi, darzy swem współczuciem, a nawet kłamstwem niewinnem osłania jej krok nierozważny.

Mimo dużego oddziaływania „Pamela panną“ i „Pamela zamężna“ na osnowę i kompozycyę „Wychowanki“, niema w ostatniej miejsc takich, które uchodzićby mogły za prostą parafrazę czy przeróbkę z Goldoniego, a reminiscencye materyalne, przedstawiające blizkie podobieństwa słowne, są bardzo nieliczne i nieznaczne. Wszystko to dowodzi, iż „Wychowanka“ nie powstawała pod świeżem wrażeniem dzieł włoskiego komedyopisarza. Między

poznaniem tych komedyj a przejawieniem się ich wpływu musiał upłynąć czas dłuższy.

Z reminiscencyj materyalnych na wymienienie zasługują dwie szczególnie.

W scenie 4 aktu IV., gdy Paulina chce skłonić Zosię do wyznania niepopełnionej winy i maluje przed nią czarną przyszłość, jaka ją czeka po wydaleniu z domu Morderskich, toczy się między niemi taki dyalog:

ZOSIA. Znajdę miejsce przecie
Gdzie przy jakich panienkach.
PAULINA. O szalone dziecię!
Gdzie, jaka, która matka przy córkach zostawi
Tę, którą jak wygnankę świat wprzódy osławi.
ZOSIA *(wstrzymując się od płaczu)*:
To służyć będę!
PAULINA. Służyć? — Cóż ty robić umiesz?
(Zosia spuszcza głowę i milczy).
Ów najprostszy zarobek czy łatwym rozumiesz?
Spojrzyj na twoje rączki, te pulchne [pieszczotki,
Zdatneż one do maglu, konwi albo szczotki?
. . . .

Scena ta przypomina mimowolnie następującą rozmowę między Pamelą a starym Longmanem:

PAMELA. Mój pan wysyła mię na służbę do miledi, swej [siostry.
LONGMAN. Z tą panią, kochana Pamelo, trudno ci będzie [wytrzymać.
PAMELA. No to pójdę mieszkać do mojego ojca.
LONGMAN. Na wieś?...
PAMELA. Tak! na wieś, pracować na roli.
LONGMAN. Czem? Czyż temi drobniutkiemi [rączętami?
PAMELA. Trzeba będzie pogodzić się z losem!
. . . .
(„Pamela panną“, I. 18).

Duże podobieństwo widoczne także w scenie, gdzie stary Szymon, dotknięty niegodziwością popełnioną względem Zosi, chcąc okazać współczucie niewinnej i protestować przeciw oszczerstwu, dziękuje Morderskiemu za służbę:

SZYMON *(wychodzi powoli i niechętnie postępuje):*
Jaśnie Pan woła?
MORDERSKI. Woła. — Cóż za fizys długa?
Cóż to? octu łyknąłeś?
SZYMON. Ot, jak stary sługa...
. . . .
Jaśnie Panie... Jaśnie Panie...
Ja dziękuję za służbę... *(kłania się, ściskając kolana).*
MORDERSKI. Idź spać stary gracie!
SZYMON. Prawda, żem już grat stary i dlatego właśnie...
MORDERSKI. Lecz cóż za potrzeba
Wygania? — Z tego domu znajdziesz-że ty drogę?
SZYMON. Muszę. — Mówić nie wolno, a milczeć nie mogę.
MORDERSKI. Ale mów-że wyraźnie, słowa nie rozumiem.
SZYMON. Wyraźniej albo nie chcę, albo też nie umiem.
Niebawem zrozumiesz Pan te moje wyrazy...
Ale, nim raz uwierzysz, pytaj się trzy razy...
Bo pamiętaj, że wyżej, wyżej tam nad nami
Ciężko będzie odetchnąć pod sieroty łzami...
(odchodzi).
. . . .
(„Wychowanka", V. 3).

Miejsce to przypomina analogiczną scenę z „Pameli zamężnej", gdzie stary Longman, dotknięty głęboko niesprawiedliwem posądzeniem Pameli przez jej męża, w ten sposób okazuje współczucie dla swej pani:

BONFIL. Hola! Jest tam kto?
LONGMAN *(wchodzi stąd, dokąd wyszła Pamela; ociera łzy, płacząc):* Jaśnie Pan?...
BONFIL. Poproś pana Ministra, ażeby wszedł.
LONGMAN. Którego ministra, Jaśnie Panie?
BONFIL. Czyż niema w przedpokoju urzędnika ze sekretaryatu stanu?
LONGMAN *(ocierając łzy):* Tak, jest, Jaśnie Panie.
BONFIL. Co ci to?... Zdaje się, że ronisz łzy?...
LONGMAN. Nie... — nic...
BONFIL. Chciałbym wiedzieć.
LONGMAN. Patrzyłem na płacz naszej biednej pani... proszę mi wybaczyć!... tak trudno się człekowi powstrzymać...
BONFIL. Idź! Wprowadź tego dostojnika.
LONGMAN. Do usług, Jaśnie Panie. *(Do siebie):* To ci kamienne serce!...
. . . .
(„Pamela zamężna", III. 14).

Obie te remiscencye, podobnie jak i owa w „Ślubach“, którą cytowałem w dopisku, posiadają pewną właściwość wspólną, na którą warto zwrócić uwagę. Znamieniem wspólnem jest ich optyczność. Gdy porównamy te reminiscencye z analogicznemi scenami Goldoniego, zauważymy, że w wyobraźni naszego autora utrwaliła się nie tyle fabuła i treść słowna, co przedewszystkiem postać zewnętrzna odnośnych scen, ich strona plastyczno-sceniczna, a więc wzajemna pozycya występujących osób, ich gest, nastrój, mimika, jednem słowem ich gra. Możnaby o tych reminiscencyach (i o tylu innych!) powiedzieć, że zostały one zapamiętane wzrokiem.

Ponieważ zaś wydaje się wątpliwem, by Fredro te sztuki Goldoniego kiedykolwiek oglądał na scenie (co do „Pameli zamężnej“ można zaprzeczyć z całą pewnością, gdyż ta ramota spadła z repertuaru jeszcze za życia jej autora), więc nasuwa to myśl, że Fredro, nietylko pisząc własne komedye, ale nawet czytając obce, równocześnie uzmysławiał sobie ich grę, widział je oczyma duszy. I tutaj nie był tylko biernym widzem, ale niejednokrotnie już w czytaniu przetwarzał sceny czytane na swój sposób, ożywiał je tchem własnej wyobraźni, dostrajał do własnych wymagań artystycznych. Niejednokrotnie tak przeczytana sztuka mogła po latach zupełnie wylecieć z pamięci, ale jakaś jej scena czy postać odżywała później zupełnie bezwiednie w czasie tworzenia wraz z przeświadczeniem, że jest pomysłem własnym. Nie bez racyi, gdy się zważy, że już sam akt czytania był samodzielnem i oryginalnem przetwarzaniem obcej treści.

Stąd-to pochodzi ów przedziwny wdzięk niektórych reminiscencyj fredrowskich, przewyższających niejednokrotnie swój pierwowzór o całe, nieskończone niebo piękna. Przypomnijmy sobie dla przykładu z rzeczy, dziś powszechnie dzięki p. Güntherowi [1]) znanych, taką śliczną scenę jak „kocham“ w „Ślubach“, natchnioną przez rzemieślniczo poprawną ale suchą scenę z Regnarda, lub klasyczną postać Smakosza z „Przyjaciół“, podsuniętą przez pospolity, oklepany, pozbawiony wyrazu i życia typ żarłoka Ciccia z „Villeggiatury“ Goldoniego.

Rzecz oczywista, że tego, co mówię o reminiscencyach fredrowskich, nie odnoszę do całego rezultatu oddziaływania Goldoniego

---

[1]) Wł. Günther: „Śluby panieńskie“ a „Le Joneur“ i „Le Distrait“ Regnarda („Przegląd polski“, 1907, listopad, str. 203—233) i „Ze studyów nad twórczością Fredry“ (Bibl. warsz., 1913, I., str. 36—87).

na „Wychowankę“, rezultatu, który oceniam tylko jako artystycznie ujemny. Ma się wrażenie, że poszczególne motywy z obu omawianych sztuk goldoniowskich, dzięki swemu powinowactwu z zamierzoną przez poetę fabułą, zbyt natarczywie narzucały się naszemu autorowi w czasie obmyślenia „Wychowanki“. Niezestrojone należycie z pomysłem własnym autora, odegrały w całości dzieła rolę przeważnie destrukcyjną, wywołując te wady kompozycyi, niekonsekwencye, a nawet sprzeczności, które starałem się wykazać wyżej.

W całości rezultat poszukiwań pozwoliłbym sobie ująć w zdanie, że oddziaływaniu Goldoniego zawdzięcza „Wychowanka“ prawie wszystkie swoje... wady. Nie ubliża to bynajmniej oryginalności i wartości naszego autora; gorzej przedstawia się sprawa z pisarzami, których zalety i piękności położyć trzeba na karb obcego oddziaływania.

Dr. Eugeniusz Kucharski

Generałowej

Benigny Kazimierzowej Małachowskiej Pamiętniki.

1830—1870.

(Ciąg dalszy).

1-go Października 1834 r. Tu nie jest tak źle, jak nam wystawiano; dotąd politykują z nami, grzecznie, ale nie jest to jeszcze to, czegoby sobie w pożyciu tułaczem życzyć należało; może z czasem znajdzie się i reszta. Te dyskusye polityczne — zabijają mnie. S. P.[1]) tak się w nie zapędza, że strach bierze na tę gwałtowność. Uważam często, że światłe, gruntowne uwagi i zdanie Męża — nie podobają się. O, bo jakże to trudno w naszej Emigracyi, aby się co komu podobało! Co głowa, to rozum! K. R.[2]) jest to człowiek bardzo przyzwoity, gruntowny, moralny i bardzo umiarkowany. Namiętnie kocha kraj swój, nienawidzi arystokracyi, ale gwałtownym w sądzie swoim nie jest. Można z nim mówić o wszystkiem z zimną krwią. Szwagier jego C.[3]) — nie wiem, jak go nazwać, bo to ani to, ani owo jest — trzpiot i koniec. Dziwne stworzenie, ciągłą walkę ze mną toczy o kobiety Polki, utrzymując, że nic nie warte, że tylko Francuzki podobać się mogą etc. Najlepiej zostawić go przy jego zdaniu i nie zważać, co plecie. — Rozsądny bardzo jest człowiek Pan Chłuśniewicz, ale

[1]) Seweryn Pilchowski.
[2]) Karol Różycki.
[3]) Michał Czaykowski.

szkoda, że zakład opuszcza. — Młody Sawicz — miły, skromny człowiek. Topczewski przypomina obywatela, którego nic więcej nie interesuje, prócz roli i dobra kraju, — poczciwy, z duszą. — Pan jakiś Sarzyński, chcąc okazać fanatyzm demokratyczny, nienawidzi Męża mego za to, że Generał, że Małachowski i że podpisał kapitulacyę; on tylko jeden nie bywa u nas; i cóż z tym robić? — zostawić go także potrzeba woli jego. Ostatni, nakoniec, jest dobry chłopek polski, krakowiak, prosty, ale rozsądny, moralny, uczy się piekarstwa. Wogóle dobre tu wszystko, byle tych politycznych rozpraw nie bywało. Ja się tak tego boję, a oni przecież o niczem innem mówić nie mogą. — W każdej materyi, w potocznej rozmowie, wpadają na rewolucyjne działania. A dla kogóż to one obojętne być mogą? kto zimno potrafi o tem mówić?

6-go. Pobyt tu króla Filipa niewiele nas ubawił. Wszystkich tu Polaków, w jego obecności, śledzi policya; rzecz niemiła — wreszcie, co nam to szkodzić może, że szpiegi chodzą za nami.

8-go. Szkoda wielka, że żadnej z naszych kobiet chęć nie weźmie wyjechać z Paryża na ustronie. Tego mi tu tylko brakuje, żeby mieć jaką towarzyszkę — ale kiedy nie można, to i tak dobrze. — Dziś, będąc na muzyce w ogrodzie, siadłam pomiędzy damami francuskiemi; one się nie wystrzegają niczego, choć mogą się domyśleć, żem ja cudzoziemka. Przechodzili się po ogrodzie różni ludzie — o każdym coś powiedzieć miano. Nadeszli i nasi, a pomiędzy nimi i ów wielbiciel kobiet Fracuzek. — „Ci Polacy — rzekła jedna — to są Gaskony Północy; czy uważasz tego śmiesznego człowieka, wszędzie go pełno.“ — Byłabym się o wszystkich coś dowiedziała, bo się na coś komicznego zabierało, ale ktoś nadszedł, zagadał o czem innem — i ja już o swoich nic więcej nie słyszałam. Wieczorem, tak jak zwykle przyszedł na dysputę ze mną o kobietach polskich P. Czaykowski; powtórzyłam mu, co o nim mówiono w ogrodzie; niezmiernie był kontent. — „Otóż to jest dowcip, przenikliwość kobiet francuskich, wie Pani, że to dziwnie mi się podobało.“ — „A ja bym jednak nie rada — odrzekłam, — aby wszystkich Panów za Gaskonów uważano.“

20-go. Propozycya, abyśmy się do Alzacyi przenieśli. Co tam lepszego być może? Taniej powiadają. Wszędzie tanio, gdzie się ograniczyć potrafimy.

5-go Listopada 1834 r. Od kilku miesięcy żadnego listu z kraju! Co wnosić z tego, jak się nie troszczyć?

6-go. Jakże przykry sen dziś miałam: Oddano mi list z czarną pieczątką, która mnie dużo przeraziła; a więcej jeszcze strwożoną

zostałam, otworzywszy go, na widok czarnego papieru, na którym białe litery te wyrażały słowa: „Nie tu Waszych nieszczęść koniec!“ — Lubo w sny nie wierzę, przecie cały dzień smutno mi było.

7-go. Pani Hoffman pisała do mnie; żaden z projektów podanych nie utrzymał się. Już się też o to nie troszczę; niech sobie robią, co im się zdaje — ja nie należę już do nich. Uprzejma i dobra Pani Hoffman dała się uprosić, że wszelkie przedstawienia dla potrzebnych braci na jej ręce przesyłać będę: ona bezwątpienia zrobi więcej, jak ja bym zrobić mogła.

8-go. Niedługo czekałam na ziszczenie się przykrego snu; odbieram list, w którym okropne wieści z Polski. Tyle ofiar pod miecz katowski poszło, więzienia się zapełniły różnej płci, stanu i wieku osobami. Syberya wyludniła Polskę z ludzi najgodniejszych. O, Boże, kiedyż Cię przebłagać zdołamy! Ileż to familij nieszczęśliwych! Nam tu przynajmniej głośno narzekać wolno, a tam jedno słowo na Sybir prowadzi.

29-go. Trzecią rocznicę obchodzimy po za granicami kraju naszego. Zebraliśmy się razem, bo to wspólne, narodowe święto. Car wyrzekł: „Niema amnestyi dla buntowników!“, tak, jakgdyby wiedzieć o tem nie chciał, że tu żaden z dobrych dzieci polskich nie przyjąłby jej. Zapomniał tyran, że ile tu kropli krwi, tyle zemsty, przekleństwa dla niego.

10-go Grudnia 1834 r. Co też to na paryskim obchodzie działo się. Co za manja występowania publicznie. Jakiś Pan Niewęgłowski niestworzone plótł brednie po francusku na obchodzie 29 listopada. To zgroza! Żadne stworzenie nie brudzi tak swego gniazda, jak my, niby rozumni ludzie. Jakże go mogą zrozumieć Francuzi, kiedy się on sam nie rozumie, albo chce krzywdę narodowi zadać, upośledzając go w taki sposób. Mówiąc o ludzie polskim, wyraził się zbyt fałszywie: „Panowie polscy — powiada — na swoich ucztach wyrzucają przez okna kości, które lud polski ogryza. Les malheureux ils couchent sur leurs grabats, se nourissent d'un pain pétrit de glands et de paille.

18-go. Tak, dziś trzy lata ubiegło, jak kraj opuściłam. Nie myślałam, aby na tak długo. Dzięki Ci, Przedwieczny, że i w tem tułactwie dozwalasz mi najpiękniejszą spełniać misyę. Cóż może być świętszego nad obowiązki żony? Co godniejszego i chlubniejszego, jak podzielać niedolę człowieka, któremu za całą nagrodę długoletnich poświęceń dla swej Ojczyzny została — żona. O, mój Boże, dozwól-że mi godnie odpowiedzieć temu położeniu, którego bym pewnie za nic nie zamieniła, bo ono mi chlubne i miłe.

24-go. We dwoje zasiedliśmy do wilii Bożego Narodzenia. Trudno być wesołą, przypomniawszy sobie dom, rodzinę, przyjaciół. Ale także i smutną być nie należy; dopóki Mąż zdrów, wesół — ten mi stanie za wszystko.

25-go. Jaki to niemiły ten kościół; na chwilę spokojnie pomodlić się nie dadzą, a ja o wiele rzeczy błagać dziś Boga miałam.

27-go. Maurycy Mochnacki umarł; szkoda nieodżałowana dobrego pisarza.

28-go. Mąż mi trocha słaby; to zawsze największa trwoga dla mnie. O, Boże, dopuszczaj wszystkie przykrości dla mnie, kiedy taka jest wola Twoja; od tej jednej uchroń mnie!

29-go. Atylla Północy sili się, aby wynaleźć nowe okrucieństwa, aby biedny naród polski pognębić. Trudne dzieło! w przeciwnościach próbuje się i utwierdza charakter ludzki. Nie, Polska nie zginie!

31-go. Dobrze rok zakończyłam; przyniesiono mi razem sześć listów; to prawdziwa dziś pociecha. Lubo one często złe wieści zwiastują, potrzeba wiedzieć przecie tak złe, jak i dobre.

1-go Stycznia 1835 r. Podług zwyczajów krajowych potrzeba się było całować ze wszystkimi domowymi, dawać etreny i nawzajem odbierać. Ceremonialne powinszowania odbyły się: resztę dnia spędziliśmy sami — Mąż czytał, jam szyła na kanwie robótkę na korzyść ubogich. Możnaż lepiej zacząć rok nowy?

30-go. Takie jedne codzienne prowadzimy życie, że nic prawie zapisać się nie dało w całym miesiącu. Zajęta mojem domowem krosienkiem, że ani spostrzegam, jak czas ubiega. Raduje się dusza moja, bo dobroczynna Klaudya nasza, jak anioł opiekuńczy na każde przedstawienie biednemu bratu śpieszy w pomoc. Z drugiej strony Pani Hoffman żadnemu nie odmawia przedstawieniu memu; jest to prawdziwa pociecha dla mnie.

26-go Lutego 1835 r. Tłusty Czwartek. Zwyczajem narodowym nasmarzyłam pączków, wszystkich rodaków zaprosiłam i mile szedł nam wieczór.

4-go Marca 1835 r. Co życzyć będę dobremu memu Mężowi? Myślałam długo i na nic się zdobyć nie mogłam. Położyłam rękę jego na sercu mojem — on to zrozumiał, czule mnie do swego przycisnął, a łza w naszem oku świadczyła, czego nam do szczęścia zupełnego brakuje. — Pani Żarska z Panem Chełmickim przybyła z Paryża; szczęśliwi jesteśmy, że nas nie zapominają. Ileż miesięcy upłynęło, jak głosu Polki nie słyszałam. Tęskno jest żyć

samej jednej; te Francuzki nie pojmują położenia naszego. Im się zdaje, że w ich pięknym kraju zapomnieć o Polsce można.

6-go. List z Warszawy od Sowińskiej, jakże pożądany. Smutne szczegóły zawiera. ale to interes kraju. Miło jest wiedzieć, że tam są ludzie, co czują, mają duszę stałą i wytrwałą w nieszczęściu.

28-go. Dziś przewożono tędy 80 więźniów stanu z Lyonu. Republikanie, ludzie, którzy chcieli wolności, praw ludu swego i europejskiego; mniejsza liczba uledz musiała silniejszej. 8 dyliżansów lud otoczył na przeprzęgu koni. Rzewny to bardzo był widok. Żandarmy przystępu bronili do nich, ale czyż nie można się i spojrzeniem rozmówić? Może tam gdzieś i naszych biednych braci wloką gdzieś do ciemnych lochów — i smutek. nie do wyrażenia. ścisnął serce.

8-go Kwietnia 1835 r. Daleką zwiedziliśmy dziś skałę, zwaną Mont Aigu; jaki dziwny skład tych najeżonych skał; błąkaliśmy się pomiędzy niemi oboje z Mężem. Niezdrów jest i to mnie okropnie dręczy. Zdaje mi się, że do wytrwania we wszystkiem potrzeba mi widzieć go zdrowym i wesołym: gdy to jest — wszystko inne łatwo się znosi.

12-go. Znowu się grób otworzył. 10-go t. m. Gustaw Małachowski zakończył życie. Tylu już straciliśmy ludzi młodych: wielu niedługie obiecują życie. O czyż i tych za straconych uważać nie należy, co tu się żenią, a jak się żenią!

19-go. Miło jest, dopóki możność nasza pozwoli na to, przechować wszystkie narodowe zwyczaje. Dziś obchodzimy święto Wielkiej Nocy; szynki, babki, placki, wszystko mojej uprawy. 12 mieliśmy rodaków na tem święconem, które sama także oświeciłam, bo tu niema tego zwyczaju, a czego niema, to oni nie zrobią. Smaczno i wesoło jadło się, bo pamięć do Warszawy uleciała. bośmy się tam na chwilę całem jestestwem przenieśli. — Dopiero, gdy się goście rozeszli, siadłam zadumana pod oknem; wtem dobry mój Mąż zbliżył się i zapytał: „czy Ty wiesz, Żono, co w Warszawie robią?“ — „A co?“ — zapytałam spiesznie. — „Oto dzieci pytają matki, siostry Twej, czy tam ich Ciotka gdzieś we Francyi ma święcone.“ — Ucałowałam czule jego ręce za tak trafną myśl i zgodną z sercem mojem.

28-go. List od lubej Pani Sowińskiej; to jest prawdziwie dzień pociechy dla mnie. Ona się o wszystko i o wszystkich interesuje. — O, bo też to oddać przysługę braciom nader jest pożądane i miłe.

3-go Maja 1835 r. Mąż zaproponował, abyśmy wszyscy razem zwiedzili w dniu 3-go Maja Montigny, czyli dom, niegdyś zamieszkany długo przez Kościuszkę. Staremu towarzyszowi broni Kościuszki nie śmiano odmówić i chociaż święto 3-go Maja nie jest dla nowej generacyi wielką pamiątką, obchodzić go przecież postanowiono. Montigny jest odległe 3 małe liens od Fontainebleau. Dla mnie więc najęto osiołka, drugiego obładowano koszami z żywnością i napojem, Panowie wszyscy szli piechotą, wszyscy bez wyjątku, nawet i dobry krakowiak Janek oderwał się na ten dzień od pracy. Dzień był śliczny, droga lasem bardzo miła — Mąż był w dobrym humorze; chłopaki hoże śpiewali, skakali, dawne figle sobie przypominali, a ja, pośrodku nich, rosłam z radości, że w tułaczem życiu można znaleźć jeszcze chwilę pociechy. Zbliżając się do miejsca, serce się radowało na widok, jak Kościuszko umiał sobie zjednać miłość powszechną. Kobiety, starce, młodzi i dzieci wymawiają imię jego tak wyraźnie i czysto, jakby ich własne było. Każda kobieta, podeszła w wieku, tysiąc miłych wspomnień o nim powtarza. Minąwszy wielką wieś Montigny, gdzie Matki dzieci swoje starannie uczą powtarzać swego dobrodzieja imię, przebyliśmy małą rzeczkę, niedaleko której widać tak nazywany Pałac Bervili, własność Zeltnerów niegdyś, dziś przeszła w inne ręce. — Aleje topolowe, sadzone, jak mówią, ręką Kościuszki, prowadzą do tego domu. Zsiadłam z mego osiołka i szliśmy razem z widocznem wzruszeniem. Czy mógł myśleć Kościuszko, że towarzysz, ten, co odbierał i rozkazy pod komendą jego, pod Racławicami, w wiele lat później, obciążony wiekiem, wygnaniec, zwiedzać będzie mieszkanie jego i dzielną młódź poprowadzi z sobą, aby hołd cnocie jego oddała?! Widząc ten poważny orszak, pomyślałam sobie, że gdyby Mikołaj widział to, nabyłby może przekonania, że Polska istnieć musi, gdzie tyle narodowe pamiątki szanują. — Nad kanałem spławnym stoi domek rybaka; wyszła do nas poważna w wieku niewiasta, którą prosiliśmy, czy nie pozwoliłaby spocząć w domu swoim. — „Chętnie“ — odpowiedziała i do bardzo czystego wiejskiego domku wprowadziła. „Sama dziś jestem — rzekła, — bo moja córka i wnuki pojechali na jarmark. Państwo tu zapewnie spacerem z Fontainebleau przybyli?“ — „Tak, widzieć dom, gdzie nasz rodak mieszkał.“ — „A, to jesteście Polacy? O, jakżem szczęśliwa; tu, na tem krześle nieraz spoczywał Kościuszko — niema tu najlichszej chaty, którejby on nie nawiedził i pociechy nie przyniósł tym, którzy jej potrzebowali.“ — Staruszka, rażna jeszcze, zastawiała nam stół czystymi, glinianymi talerzami, cienką bielizną

i srebrnymi kubkami, wyliczając, który komu i przez kogo był dany przy zaślubinach, chatach swych dzieci i wnuków. Zastawiwszy, jak można było najlepiej, stół do uczty naszej, dawszy nam chleba, mleka i wszystko, co nam potrzeba było, oddaliła się, mówiąc, że będzie blisko, jeżeli czego potrzebować będziem. — Prędko znikły pasztety, pieczyste, różnego gatunku szynki, salcesony, ozory etc., nastąpiły ciasta, liczne zdrowia. Wydobyto z kosza dobrego parę butelek wina, a napełniwszy niem kubki dobrej miary, Pułkownik Różycki poważnie i solennie w te słowa przemówił: „Uczciliśmy pamięć bohatera Polski, znakomitego republikanina, człowieka wzorowych cnót i bezinteresowności. Pozostaje nam, bracia, uczcić i oddać hołd żyjącemu pomiędzy nami towarzyszowi jego, rzetelnemu obrazowi tamtego. Niech żyje nam długo dla przykładu!“ Ukląkł przed Mężem moim, ucałował jego rękę i wychylił do dna naczynie, napełnione winem. Następnie odwracając się do swego syna, rzekł rzewnie: „radbym, abyś go mógł naśladować“. — Widok ten tak mnie rozczulił, żem wybiegła do ogrodu, zanosząc się od płaczu. Widząc to staruszka, poszła za mną i troskliwie o przyczynę badała. — „To są łzy radości — we wszystkich je oczach w tej chwili dostrzegłam i niepodobna mi było zostać z nimi.“ — „Czy znałaś — zapytała mnie — Generała Kościuszkę?“ — „Nie, ja go nie znałam, ale Mąż mój znał go dobrze.“ — „Oj, bo też to był godny człowiek; kiedy tu weszli sprzymierzeni, on tu mieszkał pod ten czas, kilkunastu ułanów przyjechało zabierać gwałtem zboże i wiele hałasu robili. Gdy to posłyszał Generał Kościuszko wyszedł do nich i upominał ich, że źle robią; „kto jesteś, zapytali go owi żołnierze, że nam takie przestrogi dajesz? — Kościuszko, odpowiedział im. Na te słowo wszyscy z koni zsiedli i na kolana przed nim upadli, a potem odjechali, żadnej nie uczyniwszy szkody.“ Bo też to byli także Polacy i chciałam się dokładnie o tem objaśnić, bo już wiedziałam z pism o tem zdarzeniu. Ale wszystkie głosy z chaty słyszeć się razem dały: „Zdrowie Polki, dzielącej tułactwo nasze!“ Było to zdrowie ostatnie, bo też już i wina nie było. — Udaliśmy się więc prosić o pozwolenie zwiedzenia domu. Zapukawszy do bramy, pies na łańcuchu, strzegący jej, zawył przeraźliwie. Gdy bramę otworzono, spostrzegliśmy familię, siedzącą przed domem; kobieta w średnim wieku, w żałobie, zbliżyła się do nas. — „Jesteśmy Polacy, prosimy o pozwolenie zwiedzenia domu, w którym mieszkał Kościuszko.“ — „Chętnie“ — odpowiedziała, a zdjąwszy klucz z kółka, na drugie piętro poprowadziła. Otwierając wielki pokój o jednem

oknie: „tu — rzekła — pracował, tu z tego okna przypatrywał się ślicznemu widokowi“. — Nadszedł i gospodarz z młodą, piękną swą żoną; są to dzierżawcy, od lat dwóch tu mieszkają; z tradycyi tylko opowiedzieli nam niektóre rzeczy. Jam szukała sama, czy co nie znajdę, coby pamięć jego przypominało, ale ani ściany, ani szyby nic napotkać nie dozwoliły. Z okna widok na ogród; pokazywano nam drzewa, sadzone ręką jego, — tu na tej ławce siadywał i czytał, — w tym kanale chował karpie, po obiedzie wychodził do nich z chlebem, gdy zadzwonił, zbiegały się do niego — karmił je. — Pytałam się, czy żyje jeszcze z tych karpi który — śmiali się ze mnie. — Przeszliśmy do drugiego pokoju: „tu sypiał“ — rzekła. — „Czy niema jakiego sprzętu albo mebli po nim?“ — „Nic — rzekła, — bo my to wszystko odnowili, odświeżyli.“ — Wodząc jednak smutnie oko po tym białym murze zapleśniałym, bo pustym, spostrzegłam coś, jak framugę: „tu musiał stać piec?“ — „Tak jest, i te dwa pokoje ogrzewał razem, ale że był wielki i nieużyteczny, kazaliśmy go zburzyć.“ — „To szkoda, bo gdyby on tu był i czasem ogrzewał, toby tej wilgoci i plam na murze nie było.“ — Zeszliśmy do wielkiej sali na pierwsze piętro: „tu na śniadanie i obiad przychodził, a w tym oto salonie bawił się czasem“. — Spostrzeżono fortepian, poproszono młodą Panią, aby co zagrała; grała i śpiewała. Następnie Seweryn Pilchowski zasiadł, grał i śpiewał także, a że to były polskie śpiewki i ukraińskie dumki — śpiewali je wszyscy z ogniem i duszą, jak zwykle bywa po dobrem śniadaniu. — Nadto serce i umysł przeniósł się do przeszłości i przyszłości, — często przepełniona dusza uczuciem żywem — pobudza do śpiewu. Pytano się ciągle, czy nam nie gorąco, czy nie chcemy serem ochłodzić, ale nic nie dali. Pożegnaliśmy i podziękowali pięknie za wszystko, równie jak naszą gospodynię w domu rybaka, i późno w noc, po chłodzie, powróciliśmy do domu. Lasy napełniały się ukraińskim śpiewem: głosy dobre, czułe, mogłyby być w Polsce słyszane.

7-go. Jadąc do Paryża, przejeżdżaliśmy miasto departamentowe Melun; kraj płaski, urodzajny, — wioski, pałace po drodze widzieć się dają. W Melun zatrzymał się dyliżans, — my z Mężem wyszli za miasto, siedli na polu przy drodze i z kobiałki wydobyli smaczne śniadanie. Wieśniak, uprawiający pole, zbliżył się z pługiem swoim do nas. Zaprosiliśmy go do naszego śniadania, czego nam nie odmówił: rozsądnie bardzo rozmawiał z nami, biorąc nas za podróżnych, pieszo wojażujących, i niemałe było jego zdziwienie, gdy się dyliżans zbliżył i my go pożegnali. — „Oto chwała

Bogu — rzekł, — bo mnie też serce bolało, myśląc, że Państwo piechotą idą". Życzył nam dobrej drogi, bodaj prędko do Polski.

18-go. Dziesięć dni bawiliśmy w Paryżu, gościnnie przyjęci w domu Państwa Żarskich. Na samych odwiedzinach, spacerach zszedł nam czas. Prócz wystawy wyrobów gobelińskich i porcelany sewrskiej, nic więcej nie widzieliśmy. W teatrze Porte St. Martin Pannę George grającą etc. Na obiedzie byliśmy u Ledóchowskiego i Dwernickiego, w pięknej wiosce pod Paryżem. Mąż nie był, ale ja towarzyszyć musiałam Pani Żarskiej; pojechaliśmy tam z Panem Chełmickim. Jaki cel był tego obiadu — nie wiem; widziałam małe nieukontentowanie, że Mąż nie przybył, ale może i dobrze się zrobiło. Tam zastaliśmy Państwa Mickiewiczów i Krysińskich; wesoło się bawili, dużo mówili, dobrze jedli, pili. Mnie tam bardzo niedobrze było, bo bez Męża, bo nie wiem, dlaczego smutno. Po obiedzie nastąpiły wielkie dyskusye polityczne. Nad wieczorem zaproponowano, aby się udać na fetę wiejską do Passy, wioski przyległej; żeby nie psuć kompanii, potrzeba robić, co drudzy chcą — udaliśmy się tedy pieszo. P. Ledóchowski podał mi rękę i szliśmy potem czas długi parami, każdy zajęty swoim oddzielnym dyskursem. — Gdyśmy tylko z domu wyszli, Pan L. rozpoczął pierwszy, że żałuje bardzo, że Męża mego nie mieli u siebie, że tego bardzo pragnęli etc. Oddawszy mu następnie tysiące pochwał, tak dalej mówił: „Mąż Pani wiele zrobił dla kraju; jego cnoty, jego poświęcenia znane są nam, ale ubolewamy dużo nad tem, że jest zbyt skromnym. On nam jeszcze potrzebnym jest, a to widoczne, że unika nas. Pani, jako dobra Polka, masz obowiązek nakłonić go do tego, aby się wiązał do nas, my mu wiele rzeczy powierzyć i odkryć chcemy. My tam przyjedziem do Fontainebleau pogadać z nim o tem. Niedobrze byłoby, aby się usuwał od nas; ja mam nadzieję, że kiedy Pani przemówi do niego, to on nic nie odmówi." — „Nie wiem — odpowiedziałam, — o co idzie, ale to wiem, że Mąż mój z niczego się nie wymówi, w czem by widział korzyści dla kraju swego. Kto lat 50 kilka służył krajowi, ten pewnie i resztę dni swoich chętnie poświęci, gdy tego będzie potrzeba. — Krzywdę robiłabym Mężowi memu, abym zostawiła Pana w tej opinii, że on potrzebuje natchnienia mego. Nie wspomnę mu nic o rozmowie naszej. — Sprawa narodowa nie jest obojętna dla Męża mego, a że siedzi sobie spokojnie na ustroniu, to dowodzi, że nie chce odgrywać żadnej roli w świecie politycznym, do żadnych stronnictw należyć nie chce, a kiedy, da Bóg, jak nadejdzie chwila, że on potrzebnym będzie, to pewno stanie pomię-

dzy Wami, Panowie.“ — Właśnie dochodziliśmy do owej fety wiejskiej; zgiełk ludu, muzyki, rozmaitego gatunku zabawy, przerwały naszą rozmowę, z czego kontenta niewymownie byłam Doszliśmy właśnie do huśtawki, gdzie po dwie osoby zamykają w krzesło, a potem kręcą kołem, na którem dwa takie krzesła są zawieszone — jedno bardzo wysoko się wznosi, a drugie spada na dół. Ochocza kompania zaproponowała, aby użyć takiej rozrywki; chciano tedy, aby każden mężczyzna, któren prowadził damę, usiadł z nią do owego krzesła — może niegrzecznie, ale ja memu odmówiłam tej promenady nadpowietrznej. Wsiadł tedy Pan Dwernicki z Panią Krysińską, a Pan Ledóchowski z Mickiewiczową: było to bardzo ciekawe widowisko; późno w nocy powróciliśmy do domu.

19-go. Mamy jechać do Vichy. Nowy kłopot, trudy — ale kiedy to ma być dla polepszenia zdrowia Męża mego, z pociechą tam się udam.

24-go. Zwiedziliśmy Franchard, dwie liens od Fontainebleau. W lesie, miejscu pięknem i dzikiem, szczątki opactwa dawnego. Niedaleko krzyż żelazny, gdzie był pochowany Monaldeschi, którego Krystyna, królowa szwedzka, zabić kazała w Pałacu Fontainebleau, w czasie swego tu pobytu.

28-go. Na dorocznej fecie wiejskiej w Thomery — bogata, wielka wieś, sławna z winogron. Zwyczaj jest, że każda parafia ma tu swoje święto; po nabożeństwie w kościele rozpoczyna się feta w lesie; tańcują, bawią się noc całą. Jakże bogato przybrane były te wieśniaczki, O. żeby to kiedy nasze tak się ubierały i bawiły!

2-go Czerwca 1835 r. Jutro wyjechać mamy do Vichy. Dziś rodacy dali nam obiad na pożegnanie; z żalem patrzą na nasz odjazd, tembardziej, że nie jesteśmy pewni, czy tu powrócimy

3-go. Niedaleko dnia tego zajechaliśmy, bo tylko do miasteczka Nemours o 4 liens od Fontainebleau.

4-go. Drugi nocleg w Montargis; tu znowu trudność jechania dalej; wsiedliśmy do małego powozu na dwóch kołach i tym do Cosne zajechaliśmy. — Piękne, nad rzeką Loire'ą, przejeżdżaliśmy okolice. W Cosne do wygodnego dyliżansu przesiadłszy się, pominąwszy Nevers, do Moulins zajechaliśmy. Tu chęć widzenia rodaków i zwiedzenia miasta zatrzymała nas. Miasto nieszczególne, znajduje się tu pomnik piękny w kościele, wystawiony księciu Montmorency przez żonę jego, księżniczkę Ursynę de Montmorency. Pochodziła ona z pierwszej familii rzymskiej; tak była wielce przywiązana do Męża swego, że gdy ten przez intrygi ministra

Richelieu uwięzionym został, ona dla okupu wszystkie bogactwa oddać chciała; lecz gdy to nie pomogło i Henryk Montmorency został ścięty w Tuluzie, z rozkazu Ludwika XIII., żona jego przybyła do Moulins i wstąpiła do klasztoru, którego później została przełożoną, po śmierci opatki, jej krewnej. Ona ten wspaniały grobowiec wznieść kazała; do śmierci była w żalu nieutulonym — tu umarła i jest pochowaną. — Pomnik ten jest prześlicznej roboty, wspaniały. Na podstawie czarnej, marmurowej, leży kolosalna figura w zbroi, oparta na ręce prawej — głowa wzniesiona w górę, twarz, pełna wyrazu, daje czytać, co w duszy się działo. Za nim, z daleka widać siedzącą, pobożną kobietę, modlącą się — ma to być żona, już w sukni zakonnej. Po prawej stronie pomnika posąg Herkulesa, a po lewej: piękna, młoda, pełna życia kobieta, pełne ręce trzyma klejnotów, złota — wszystko, co ma oddać. Pod spodem urna zamyka popioły zmarłego. — Trudno odebrać się od tego interesującego obrazu miłości małżeńskiej. O, gdybyśmy wszystkie mogły naśladować Ursynę, pomyślałam, i szczerze za jej duszę westchnęłam.

9-go. Przybyliśmy do Vichy. Zbliżając się, zdawało mi się, że do zaczarowanego jedziemy miejsca, tak jest śliczny widok. — tak jest śliczny widok, spuszczając się z gór; lecz pominąwszy małe miasteczko Cusset, następnie, wjeżdżając do Vichy, cała iluzya niknie. — Mało jeszcze było kąpiących się. Stanąwszy więc przed wielkim hotelem — wszystko wybiegło na spotkanie nasze. Zaambarasowała nas trochę ta grzeczność, ale wyznaliśmy szczerze konduktorowi, że chcemy jak najtańszego hotelu. — „Dobrze — rzekł, — ja Państwa zaprowadzę“, i poprowadził też do matki właścicieli, przed którymi stanęliśmy. Nie było rady, potrzeba było przyjąć, co dali: w ten moment zadzwoniono na śniadanie i udać się tam musieliśmy. Wszystko smaczne, wyborne; kilkanaście potraw, deserów etc., ale jaka cena, to rzecz ciekawa? Nad wieczorem udałam się do gospodyni domu, pytając o cenę: „dla wszystkich jedna — 7 fr. od osoby dziennie, za stół i mieszkanie“. — „To niedrogo — rzekłam — dla tych, co mają odpowiednie fundusze; my tyle płacić nie możemy.“ — Podobała się szczerość moja dobrej tej kobiecie; sama nas zaprowadzić kazała do prywatnego domu, gdzieśmy sobie najęli za 30 sous dziennie mieszkanie; przenocować jednak jeszcze tu wypadało i jeść obiad na drugi dzień. — Zabawne to jednak te obiady u wód. Gdy na drugi dzień opuścić mieliśmy hotel, Pani Gillerman, córka jej, nadobna dziewczyna weszła do mnie zapłakana: „O, jakże matka moja — rzekła —

wielką boleść mi zadaje, że się z Państwem tak nie ułożyła, żebyście w domu naszym pozostać mogli, — czemuż ja nie jestem już wolną zarządzić tem; nie wypuściłabym Panstwa, to pewna.“ Podziękowałam czule za to oświadczenie i dodałam, że dobrze się stało na ten raz, że ona panią domu nie jest, bo mybyśmy pewnie nie przyjęli mieszkania z ich stratą. — „To przynajmniej przyjmij odemnie, Pani, ten upominek“ — rzekła, podając mi szpilkę złotą. — „Odmówić Ci nie śmiem, ale pozwolisz, abym Ci nawzajem coś zostawiła.“ — Po niejakiej chwili weszła matka, a widząc, że zbieram moje manatki: „przykro mi — rzekła, — że Państwa tu zatrzymać nie mogę, ale Was proszę przychodzić do mego domu jadać obiady u wspólnego stołu tyle razy, ile się Wam podoba.“ — Podziękowałam jej czule za to, ale nic nie przyrzekłam. — Dużo bardzo zaczęło przybywać kąpiących się; w kilka dni liczono ich do 700.

16-go. Doktor Prund przepisał nam wody do picia i do kąpania. — „Pani — rzekł, żartując sobie — chyba dla tego chcesz pić wody i kąpać się, że jesteś tu, bo ja nie widzę potrzeby.“

18-go. Pierwszy był tu bal. Jakiś tu jest młody Polak, mieniący się baronem; poszedł także na ten bal; dziwne ułożenie, śmieszne nawet — żartują sobie wszyscy z niego, a jemu się zdaje, że wszystkie kobiety zwróciły oczy na niego. Jaka to próżność: ciśnie się do salonów, na bale, a jada i mieszka w szpitalu, gdzie dla naszych potrzebnych braci nie odmawiają przytułku. Jest tu jeszcze kilku innych, bardzo przyzwoitych ludzi.

21-go. Niedziela. Świat wielki. Na promenadzie, gdzie wszystko się ciśnie, przylepiono afisz: szybkobiegaczka, Polka, z Krakowa rodem, obiegnie tyle, a tyle... Będzie Polka, zapytałam naszych: wszyscy zdziwieni tem byli.

22-go. Panna Józefa, córka Pani Gillerman, tak się przywiązała do mnie, że co moment wpada, sama przysyła rozmaite przysmaczki z wybornej swej kuchni; ambarasuje nas to, ale trudno odmówić, kiedy to pochodzi z dobrego serca. Życie tu bardzo tanie; ja gotuję sama; gospodyni dogląda mi kuchni, gdy ja na spacerze. — Dziwią się niesłychanie nad naszem skromnem życiem. Powiadają, że w roku zeszłym była tu jedna hrabina, Polka, którą ja znam, ale jej tu nie wymieniam; tej pani hrabinie najęto mieszkanie, dano stół darmo, wiele składek i ofiar czyniono; ta pani hrabina przywiozła z sobą wiele własnych robótek, które jej mąż, hrabia, nosił do salonu, a damy kąpiące się je płaciły, dla sympatyi dla Polski. Uważali ją za damę dobrego tonu i ta też zacna

rodaczka, dla utrzymania dobrego tonu, ubierała się ładnie i jeździła codzień konno, na najęcie którego 9 fr. codziennie płaciła etc. Słuchając tych opowiadań serce mi się ścisnęło. „Ona tu ma i w tym roku przyjechać“, jak za co dobrego powtarzali mi. — Nie przyjedzie, a jeżeliby przyjechała, to inną grać będzie rolę; kto jałmużnę przyjmuje, ten zbytków robić nie powinien i mybyśmy się starali przekonać ją o tem. — „Jeśli tamta była hrabiną, to ta przynajmniej księżną być musi. kiedy taka dumna“ — mówili jedni; drudzy utrzymywali, że to i dobrze żyć skromnie, a nic od nikogo nie potrzebować.

23-go. Na osiołku, w towarzystwie Panny Józefy, odbyliśmy spacer do kaplicy, zwanej St. Amand, na wielkiej skale, z której zachwycający widok. Na dole płynie rzeka Allier; cóż to za widok? trudno oderwać się od niego.

24-go. Wielką tu mają sympatyę dla Polaków. Uważam, żeśmy wielki interes wzbudzili we wszystkich. Panna Józefa mi mówiła, że jej często zadają pytania o nas, że chcieliby zrobić znajomość; ja tego unikam, a przecież już z wielu osobami poznałam się. Lękam się, aby, na wzór pani hrabiny przeszłorocznej. nie myślano. że ja także co potrzebuję.

25-go. Zwykle wybieram godziny do przechadzki, kiedy piękny świat zajęty śniadaniem lub obiadem. Dziś, właśnie. jednej z takich godzin chodziłam sobie po wielkiej alei ogrodu; spostrzegłszy afisz, zbliżyłam się do niego i czytam: le Polonais Sowinski jakieś kuglarstwa pokazywać będzie. Wtem ktoś za mną odzywa się: „to rodak państwa“; „przeciwnie, — odrzekłam — to oszust jakiś przybrał sobie to imię i właśnie przykro nam jest bardzo, że zawodzi dobrą wiarę życzliwych dla nas Francuzów“. Spostrzegłszy. mój grzeczny Francuz, że mnie ta rozmowa ambarasuje. uciął ją. przepraszając, ale przytem zapytał, jak wody nam służą etc. Rozumiałam, że się na tem skończy, ale przeciwnie. szedł ze mną i różne mi pytania o Polsce czynił; zakończył na tem, czy odbieramy jakie fundusze z kraju? „Żadnych — odpowiedziałam — bo nasz majątek zabrany“. — „Jakże państwo żyć możecie?“ — „Bardzo dostateczne są dla nas fundusze, które rząd francuski nam daje“. — „Przebacz, pani, moim kwestyom — rzekł z godnością. — jestem republikanin, podzielam sprawę waszą; dosyć bogaty. nie obciążony familią, byłbym szczęśliwy, gdybyście państwo przyjęli odemnie...“ — „Wdzięcznie przyjmuję to oświadczenie pana. ale w tej chwili na niczem nam nie zbywa“ — i rozeszliśmy się. Wieczorem panna Józefa mówiła mi, że to był deputowany, że

stał u nich, że dziś wyjechał do Paryża, że dawno szukał zręczności mówić ze mną.

1-go Lipca 1835 r. Na drugiej stronie rzeki Allier zaczyna się kraj Owernii; o 4 liens leży piękny pałac Randan zwany, własność Adelaidy, siostry królewskiej, starożytny, szczególnej struktury, lecz przez nową właścicielkę dużo zmieniony. Kaplica szczególnej piękności znajduje się w nim i kuchnia; pokoje skromnie, ale z gustem przybrane. Widoki z balkonu zachwycające; widać górę Białą i Złotą; ogród także w dobrym guście i zabudowania gospodarskie. Zamek ten był kiedyś obronny, należał do Duoes Guxehin (?); siostra króla Filipa, Adelaida kupiła go przed laty 15.

2-go. Biedna panna Józefa zrobiła mi szczere wyznanie, że pokochała rodaka naszego, że gdyby od siebie zależała, oddałaby chętnie i rękę swą i majątek. Pan Z. ani nie myśli o niej, a ta biedaczka serdecznie go kocha. On odjechał do Anglii, a ona biedna rzewne łzy wylewa. O, jakże te kobiety są biedne, jak często są igrzyskiem losu, często zwodzą się same. Czy można być tak czułą dla człowieka obojętnego. Niech mi też to pytanie która rozwiąże? Ja myślę, że nie.

10-go. Odwiedziliśmy dwóch rodaków, którzy niedaleko od miasteczka Busset mieszkają na wsi, w domu fabrykanta, w pięknem miejscu. Mają ogród, który sobie uprawiają i całe gospodarstwo; karmią wieprza i potem zabiją — słoninki, szynki, wszystko się u nich znajdzie. Miły to widok; bracia niedoli żyją razem i wspierają się nawzajem.

11-go. Znowu zjawisko nowe; jakaś pani Zaręba przybyła tu koncerta dawać na flecie.

12-go. Odwiedziliśmy w Busset Polaka, od lat 40 tu zamieszkałego; nazywa się Konarski, żyje z pensyi, jaką mu wyznaczyła jakaś magnatka francuska, a której on życie ocalił dziwnym sposobem. Był na jej dworze, w czasie Rewolucyi 1792 r., kiedy ona miała ginąć pod gilotyną. On jej poradził, aby udawała obłąkaną w wysokim stopniu. „A cóż mam robić?“ — zapytała go z rozpaczą. — „Szarpać na sobie suknie, rozebrać się do naga, krzyczeć etc.“ — Tak zrobiła owa pani i ocalała. Niedługo jednak żyła potem; umierając, nie zapomniała o swoim dobroczyńcy. — Nie jest to już ani Francuz, ani Polak; język rodzinny popsuł, obcego się nie nauczył, — interesu Polski nie zna, nie tęskni za krajem; wszystko mu jedno, gdzie kości jego spoczną — wesół zawsze. Instynktem jednak czy siłą jakąś silnie pociągnięty do nas został.

15-go. Co tylko Busset ma najlepszego, wszystko to codzień w serwetce przenosi się do Vichy dla polskiej rodziny. Niepodobna nie przyjąć, bo to, poprostu, z dobrego ofiarowane serca.

28-go. Dziś u fontanny Celestyńskiej razem we dwoje weszliśmy do małej studzienki pić wodę; był to jakiś comte ruski. Kobieta nalewająca, naturalnie, podała pierwszą szklankę bogatemu hrabi; ten widząc kobietę przed sobą, ofiarował mi tę szklankę wody. „Dziękuję“ — rzekłam i wybiegłam szybko ze studzienki. „Kto to jest?“ zapytał, gdym wyszła. — „Jakaś Polka“, odpowiedziała owa kobieta nalewająca wodę. — „Ha, to się nie dziwię“, a wydobywając śliczną kryształową szklankę z kieszeni i 5 fr. dał je tej kobiecie, szklankę wymył, napełnił ją wodą i prosił, gdy do źródła wrócę, aby mi ją podała z tem zapewnieniem, że ona z ręki życzliwej dla sprawy polskiej pochodzi.

Dr. Józef Frejlich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wyprawa Zaliwskiego 1833 r.

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzantka.

(Ciąg dalszy).

I.

Wysłannik Zaliwskiego, Waleryan Pietkiewicz, były profesor prawa rzymskiego na Uniwersytecie wileńskim, a w czasie rewolucyi z kilkunastu swymi uczniami ochotnik partyzancki w oddziale Zaliwskiego — przybył do Galicyi 22 listopada 1832 r.[1]) i stanął, o ile list szyfrowany odczytać można, w Brodach w cyrkule wadowickim u dzierżawcy Brandysa. Podróży nie miał Pietkiewicz łatwej, przedewszystkiem z powodu braku grosza i trudności przedostania się przez granicę, zwolna przeto posuwał się na wschód. 30 listopada bawił w Tarnowie, skąd pisze do Lelewela list pełen różowych nadziei, użalając się jedynie na złe drogi galicyjskie w jesieni, które opóźniają podróż[2]). Atmosfera tarnowska znalazła ogromne uznanie u Pietkiewicza, przedewszystkiem zaś usposobienie młodzieży. „Jestem tu w swoim żywiole teraz — pisze, — święta młodzież, niedawno jeden pojedynkował się tu za Joach. (Lelewela naturalnie), powracając także zatrzymam się tutaj". Miał Pietkiewicz początkowo zamiar w Galicyi czekać na przyby-

---

[1]) Rkp. zapp. List Pietkiewicza do Lelewela.
[2]) Pietkiewicz do Lelewela z Tarnowa 30 listopada 1832.

cie Zaliwskiego i partyzantów, gdyby ten dość wcześnie mógł przybyć do Galicyi. Na razie jednak zawierał Pietkiewicz znajomości z partyzantami galicyjskimi.

W Tarnowie i okolicy osiadła była rodzina Tetmajerów, z których Józef Tetmajer, uczestnik powstania listopadowego, pierwszy tatrzański poeta, dusza szczera, zapalna, poetycka, odrazu musiał przylgnąć do sprawy, przez Pietkiewicza propagowanej, skoro Pietkiewicz tak pochlebnie o nim pisze: „Józef tęgi i porządny, a inni przy nim". -- Znaczyło to, że był on niejako głową patryotów tarnowskich. Na rodzinie tej zresztą znać było wpływ Seweryna Goszczyńskiego, który po upadku powstania blisko na 7 lat osiadł w Galicyi. i przyjazne z Tetmajerami utrzymywał stosunki.

On to. konspirator pierwszorzędny, odważny belwederczyk zamyślał odrazu i w Galicyi, pobudzonej już powstaniem listopadowem do życia politycznego, wprowadzić tajną konspiracyę. wogóle pracę konspiracyjną, która do niedawna prawie że zupełnie leżała tu odłogiem. Pierwszą próbę poczyniono w Tarnowie i tu razem z adwokatem Pocem, również ruchliwym patryotą galicyjskim i Józefem Tetmajerem, ułożył Goszczyński w początkach lub połowie r. 1832 pierwszy plan związku tajnego [1]). Związek ten nie wszedł jednakowoż w życie. bo duch polityczny nie był jeszcze w tej mierze dostatecznie rozbudzony, jeszcze nie odczuwano potrzeby skupienia się i łączenia w organizacye. Te jednak nieudałe na razie próby musiały już w wielkiej mierze rozruszać umysły, skoro Pietkiewicz z tak wielkiem zadowoleniem konstatuje, że dobry duch panuje wśród młodzieży tarnowskiej i zrozumienie, a nawet przejęcie się sprawą [2]). Wtedy. kiedy Pietkiewicz przybył do Tarnowa, nie było tam już Goszczyńskiego, wyjechał był bowiem na wezwanie przyjaciół do Lwowa. gdzie było właściwe siedlisko ruchu emigracyi galicyjskiej, kupiącej się w znacznej mierze około istniejącego jeszcze komitetu galicyjskiego.

Komitet ten, powołany do życia w czasie powstania listopadowego, miał wówczas i po jego upadku spełniać rolę jedynie posiłkującą; to też organizacya jego odpowiadała w zupełności temu celowi [3]).

---

[1]) Z życia poety romantycznego, str. 8.

[2]) List Pietkiewicza 30 listopada 1832. „Jeszcze wielom siedzi w głowie Jan Schr. i Adam, ale dziwnie łacno rzecz pojmują — łacno ich przekonać.

[3]) Archiwum namiestnictwa 325/ggg II. ad 256 10/marzec 1833. Dodatek V.

Na czele komitetu stanął hr. Ksawery Krasicki, zaś członkami byli: Wincenty Tyszkowski, Jan Kanty Podolecki, Ferdynand hr. Bąkowski, Leopold hr. Starzeński, Stanisław hr. Dzieduszycki, Henryk ks. Lubomirski, Józef hr. Baworowski, Seweryn hr. Fredro, Klemens Chamiec i Izydor Pietruski (kasyer). Członkowie komitetu wybierani byli większością głosów na dwa lata, z obowiązkiem przebywania przez dwa miesiące we Lwowie. W każdym cyrkule był jeden kasyer i kilku kollektantów, którzy trudnili się zbieraniem składek, następnie składki te przesyłano na ręce kasyera cyrkularnego, lub jego zastępcy, ów zaś przesyłał je dopiero do „głównej składki“, t. j. do komitetu we Lwowie. Sposób zbierania składek był następujący: Kollektorowie otrzymywali listy właścicieli i dzierżawców tej części cyrkułu, która była im przeznaczona, a z ksiąg tabularnych mieli wykaz, ile wieś każda płaciła podatków gruntowych i urbaryalnych; właściciel był obowiązany 8-my procent z płaconych przez siebie podatków składać na ręce kollektantów, dzierżawca zaś opłacał $^1/_{100}$ czynszu dzierżawnego; prócz tego przyjmowano także datki dobrowolne. Komitet lwowski mógł jednakże zupełnie jawnie trudnić się zbieraniem składek, w dzień bowiem imienin cesarza Franciszka, 14 lutego 1832, deklarowali obywatele Galicyi na budowę domu sierót sumę 50.000 fl. M. C., ofiara ta, poparta przez ówczasowego gubernatora księcia Lobkowitza i przyjęta przez cesarza, usprawiedliwiała składki pieniężne, które pod tym pozorem wpływały do głównej kasy komitetu we Lwowie na cele narodowe. Dwa razy w roku: 15 czerwca i 15 października zjeżdżali się kollektorowie i kasyerzy cyrkularni do Lwowa i własnoręcznie zebrane sumy uiszczali głównemu kasyerowi; tu dopiero następował podział: część zebranej sumy składano na ręce władz, jako ratę deklarowanej na dom sierót sumy, część zaś szła na sprawę narodową, przedewszystkiem zaś na wsparcie dla nieszczęśliwych rozbitków powstania listopadowego.

Mimo jednak ukrywania swojego istotnego celu, były czynności komitetu wyśmienicie władzom znane. Jeszcze książę Lobkowitz używał podczas rewolucyi jednego z komisarzy cyrkularnych za pośrednika — powiedzmy szpiega — w tej sprawie[1]). On to, umieszczony początkowo w kancelaryi prezydyalnej, udzielał dokładnych informacyj o czynnościach prowodyrów ruchu ówczesnego w Galicyi: hr. Ksawerego Krasickiego i Izydora Pietruskiego; p...

[1]) Arch. nam. 397/ggg fasc. II. ad 256. 7/IV. 833.

trzono jednak na to przez palce za rządów gubernatorskich Lobkowitza i komitet spełniał swoje czynności przez cały czas trwania wojny w Królestwie, a także i po jej upadku, wspierając emigrantów, których rząd przez czas pewien jako tako znosił na ziemi galicyjskiej; starał się też komitet z funduszów swych ułatwiać wyjazd tym uchodźcom, którzy pragnęli się połączyć z emigracyą we Francyi. Był to więc, rzec można, jedyny „tajny związek", który Pietkiewicz zastał we Lwowie. Członkowie jednak tego związku byli bezwątpienia prawie wszyscy zwolennikami polityki Czartoryskiego, przeciwni temsamem wszelkim gwałtownym poruszeniom, w tej chwili zaś przeciwni programowi demokratyczno-rewolucyjnemu. Do nich ze swoją misyą nie mógł się przeto udać Pietkiewicz, który i naogół bardzo powściągliwie głosił cel swojego przybycia, czuł się może nieswojo w spokojnem środowisku galicyjskiem, które tylko nieliczne broszury i czasopisma emigracyjne zaznajamiały i pouczały jako tako o wrzeniu we Francyi.

Właśnie jednak, w przeddzień zjawienia się Pietkiewicza na ziemi galicyjskiej, powtórzona została przez Goszczyńskiego próba skupienia żywiołów demokratycznych i rewolucyjnych w Galicyi. Próbę tę powtórzył Goszczyński we Lwowie, i tu udało mu się zorganizować związek, którego celem było zainicyowanie ruchu, czynności jakiejś w Galicyi. Był tu Ignacy Kulczyński, jedna z najruchliwszych figur w Galicyi w czasie powstania listopadowego, u niego w domu, we Lwowie, w kamienicy Kuhna gromadziły się owe żywioły radykalne a przedsiębiorcze, wśród nich więc powstał zamiar utworzenia związku. Naturalnie, że głową całej organizacyi był tu znowu Seweryn Goszczyński, który skonstruował plan związku i w mieszkaniu Kulczyńskiego dwudziestu jeden jednako myślących, złączyło się w tajny związek, t. zw. 21 — byli to: Seweryn Goszczyński, Ignacy Kulczyński, Józef Zaleski, Jan Kanty Podolecki, Teofil Januszewicz, August Bielowski, Wincenty Pol, Henryk Janko, Ludwik Jabłonowski, Mieczysław Darowski, Mieczysław Skarzyński, Jan Rudzki, Władysław Jaszewski, Józef Tetmajer, Jerzy Tyszkiewicz i Lucyan Siemieński.

Nie wszystkie nazwiska członków są znane, prócz wymienionych należał także i Ksawery Krasicki, ale tajnie, nie chciał bowiem, aby nazwisko jego umieszczone było jawnie na liście rewolucyonistów. Związek ten wszedł wkrótce w stosunki z komitetem galicyjskim „szlachty" celem uzyskania pomocy pieniężnej na wydawnictwo pisma, rozbiły się one jednak o wniosek kome-

dyopisarza Aleksandra Fredry, który żądał dla komitetu prawa cenzury artykułów, któreby w piśmie tem drukować miano [1]). Łączność zresztą między tymi dwoma związkami, mimo wspólności niektórych członków, nie była możliwa ze względu na zasadniczą różnicę przekonań, markę bowiem związkowi 21 dawał sam Seweryn Goszczyński. Nie długi był żywot tego tajnego związku rewolucyjnego, możnaby powiedzieć, że wcale nie wszedł w życie, istnienie jego i program straciły bowiem wkrótce racyę bytu. Cel tego związku: powstanie — ziszczał się właśnie, ale zupełnie inną drogą i innym sposobem, bez użycia pomocy związku [2]).

Taki był ruch w Galicyi wśród patryotów w chwili przybycia Pietkiewicza, nie umiał on jednakowoż tego wyzyskać; była to niewątpliwie niezdolność zoryentowania się tego wysłannika emigracyi w stosunkach miejscowych. Zamieszkał wprawdzie Pietkiewicz na czas jakiś z Goszczyńskim i choć mógł widzieć i poznać jego robotę, nie uważał za stosowne zwierzyć się przed nim ze swojej misyi przygotowawczej, ukrył właściwy cel swego przybycia, przedstawiając się jedynie jako wysłannik emigracyi dla porozumienia się z krajem bez bliższego określenia owej misyi. Trudno doprawdy zrozumieć rezerwę Pietkiewicza, czy w istocie, jak przypuszcza Goszczyński, widział całe niepodobieństwo wyprawy, niesposób wykonania planu Zaliwskiego. Dlaczegoż więc nie ostrzegł wyruszających z Francyi, nie powstrzymał ich przed spełnieniem zamiaru? Jedyną odpowiedzią w tym wypadku może być to, że przyczyną była obawa przed przedwczesnem odkryciem i rozgłoszeniem wyprawy, co mogłoby może zniweczyć ją zupełnie. Jeśli więc nie głosił jej powszechnie, to czynił to jedynie z powodu wygórowanej ostrożności, a misyę swoją spełnił na razie w inny sposób. Inna rzecz, że nie było to dostateczne. Zbliżył się bowiem Pietkiewicz do Lwowa nietylko w celu poznania srodowiska życia galicyjskiego i emigracyi, uczynił to także w interesie swej misyi. W Nawaryi, wsi obok Lwowa, mieszkał hr. Wincenty Tyszkiewicz, do niego to właśnie miał osobne polecenie

---

[1]) Z życia romantycznego poety, str. 23.

[2]) Z zeznań Boleskiego wynika, jakoby pod koniec roku 1832 ukonstytuowany został związek pod nazwiskiem „Boga Rodzicy“. Do związku tego mieli należeć: Biedkowski, Polanowski, Szumski, Kordalewski, związek ten jednak na skutek groźby denuncyacyi Boleskiego nie wszedł w życie. — Wiadomość ta ze względu na źródło jest bardzo problematyczna.

Pietkiewicz i jemu przedewszystkiem odkrył plan swojej partyi i jej żądania od obywatelstwa galicyjskiego.

Wincenty Tyszkiewicz był rodem z Galicyi, a w chwili spotkania się z Pietkiewiczem mógł liczyć 40 lat. Miał on już za sobą ciekawe pełne czynności życie. Żołnierz napoleoński, następnie wspólnik tajnych związków rossyjskich i Łukasińskiego, schronił się przed prześladowaniem do Galicyi, ale i tu nie uniknął procesu i ośmiomiesięcznego więzienia.

Po odzyskaniu wolności osiadł na Podolu, a w czasie powstania stał na czele insurrekcyi ukraińskiej. Po jego zgnieceniu przedostał się przez obóz nieprzyjacielski i Galicyę do Królestwa. Wybrany deputatem warszawskim, był też członkiem słynnej deputacyi bolimowskiej, deputatem w radzie narodowej, z którą po ukończeniu rewolucyi przeszedł do Prus [1]). Jakiś czas następnie zatrzymał się w Lipsku, gdzie wspólnie z Zwierkowskim, wysłannikiem komitetu narodowego Lelewela, pomocny był przejeżdżającym tędy wychodźcom [2]). Z powrotem do Galicyi przybył dopiero we wrześniu 1832 r. za paszportem, uzyskanym przez żonę w Wiedniu. Przez wrzesień i październik bawił w Kolbuszowej u brata Jerzego w cyrkule tarnowskim, celem przeprowadzenia podziału majątku, następnie osiadł w Nawaryi pode Lwowem [3]). Zapewne należał on również do owego związku 21, skoro, jak wiemy, należał tam brat jego Jerzy, zamieszkały w Tarnowskiem. Z Wincentym Tyszkiewiczem tedy miał z polecenia Lelewela porozumieć się Pietkiewicz; nie może zadziwić, że właśnie na niego padł wybór, był bowiem osobistością pierwszorzędną, przedewszystkiem praktyk w organizowaniu ruchów pozatem stary spiskowiec ze szkoły Bestużewa, Rylejewa i Łukasińskiego. Można więc rzec, że była to jedyna osobistość, do której z odkryciem tego rodzaju przedsięwzięcia należało się udać. Był bowiem Tyszkiewicz nietylko demokratą-rewolucyonistą, ale pozatem stanowisko jego społeczne było tego rodzaju, że posiadał wśród obywatelstwa mir i liczne związki, choćby tylko towarzyskie tak w Galicyi, jak i na Podolu. Dom Tyszkiewiczów w Kolbuszowej w tarnowskim cyrkule wielkiego zażywał poważania, a cyrkuł ten był właśnie jeden z pierwszych, którędy przechodzić mieli przybywający z Francyi

[1]) Straszewicz, str. 457.

[2]) Rkp. zapp. Roczniki. T. 55. List Zwierkowskiego z Lipska, 5 lutego 1832.

[3]) Archiwum krajowe: Zeznania Wojciecha Gajewskiego.

okręgowi, ponadto przejście granicy Galicyi z tego i sąsiedniego rzeszowskiego cyrkułu było bardzo wygodne lasami i Wisłą.

Nie mamy żadnych bliższych danych o porozumieniu się Pietkiewicza z Tyszkiewiczem i o ile Tyszkiewicz zobowiązał się wypełnić polecenia, które zapewne według danych mu z Paryżu instrukcyj odnosiły się do przygotowania broni, amunicyi, pieniędzy, a przedewszystkim do werbowania ludzi celem tworzenia w nich małych oddziałów partyzanckich, które pod dowództwem okręgowych miały przekroczyć kordon austryacki i rozpocząć działanie w Królestwie.

W myśl zapewne porozumień z Pietkiewiczem przybył Wincenty Tyszkiewicz w grudniu 1832 do Kolbuszowy, ażeby cyrkuł ten i rzeszowski przygotować odpowiednio do przyjęcia partyzantów. Szło przedewszystkiem o broń, którą należało zgromadzić w jedno miejsce, niedaleko granicy, z któregoby oddziały partyzanckie wkraczały w Królestwo. W Galicyi bowiem od czasów powstania listopadowego przechowywano jeszcze gdzieniegdzie broń w wielkiej ilości; były to transporty, które nadeszły za późno, bo w chwili upadku Warszawy i cofaniu się wojsk ku granicom Galicyi i Prus. Przedewszystkiem znajdowały się takie większe składy w cyrkułach nadgranicznych, stąd bowiem przetransportować je miano za pomocą kontrabandy do Polski. Właśnie też i w cyrkule tarnowskim przechowywano broń w majętności hr. Jerzego Tyszkiewicza w Weryni. Broń ta również w celu wysłania jej do Polski zakupiona została w składzie broni kupca lwowskiego Glixelli'ego [1]) przez Jerzego Tyszkiewicza, jeszcze na kilka tygodni przed wkroczeniem do Galicyi korpusu Ramoriny. Nim jednak broń ta przybyła do Weryni, skąd ją miano odesłać do bliżej granicy położonego Zbydniowa — Ramorino wszedł do Galicyi. Przechowano więc broń w pakach w zabudowaniach gospodarskich i tu, rdzewiejąc, czekała ona zmiany losu. Tak samo uczyniono z bronią i w innych miejscowościach. W Rozwadowie n. p. nietylko, że chodziły wieści, jakoby na zamku przechowywano zapasy broni, ale nawet w klasztorze kapucynów broń w istocie odkryto [2]). W Galicyi wschodniej główne niejako składy broni były w Lubieniu i w Laszkach pod Lwowem [3]). Czynność

---

[1]) Zeznania kupca Glixelli'ego, leśniczego wołyńskiego.

[2]) Arch. nam. Akta ggg II. f. Nr. 106, 107 i 129.

[3]) Z życia poety romantycznego, str. 27. — Zeznania Księżopolskiego.

W. Tyszkiewicza w tarnowskiem i rzeszowskiem odnosiła się też zapewne do tego, żeby obywatelstwo tych cyrkułów przygotować do przyjęcia partyzantki. Jeżeli więc tak wielu obywateli tego cyrkułu i sąsiedniego rzeszowskiego z chętną pomocą przybyło partyzantom, była to bezwątpienia zasługa Tyszkiewicza; organizacyi żadnej mimo to nie było, a temsamem nie poczyniono konkretnych przygotowań. Krążyły tylko pogłoski o mającej na nowo wybuchnąć w Królestwie rewolucyi, nie wielu jednak wiedziało, jaką drogą i skąd ona przyjdzie [1]).

Wincenty Tyszkiewicz bawił w tarnowskiem wciąż aż do rozpoczęcia partyzantki bądź to w Kolbuszowej, lub też w Małej u szwagra Rudzkiego (również byłego członka 21), od czasu do czasu tylko wyjeżdżając do Lwowa w sprawach partyzantki właśnie.

Jak swoją misyę dalej spełniał Pietkiewicz, niewiadomo, są tylko pewne ślady, że o przybyciu jego do Galicyi był także poinformowany komitet galicyjski, w rachunkach bowiem tego komitetu [2]) z tego okresu znajduje się pozycya, która świadczy, że Pietkiewicz otrzymał od komitetu pomoc pieniężną [3]), prócz tego znajduje się kwit własnoręczny Pietkiewicza na ową sumę 50 zł. opiewający, datowany 15 grudnia 1832. Możliwe, że Pietkiewicz, porozumiawszy się z Tyszkiewiczem, wszedł w pewne stosunki jeżeli nie z komitetem oficyalnie, to w każdym razie z jego prezesem Krasickim i że przed nimi objawił zamiary Zaliwskiego; zdaje się jednakowoż, że plan ten nie znalazł aprobaty Krasickiego, jak sądzić można ze słów listu Pietkiewicza, do Krasickiego prawdopodobnie się odnoszących:

„Na wielum się zawiódł, jak i po części na owym principale“. W każdym razie jednak, kiedy w miesiącu grudniu opuszczał Galicyę, był pełen brylantowych nadziei i choć na wielu polecanych mu z Paryża się zawiódł, to natomiast znalazł wielu „zacnych“.

---

[1]) Zeznania Zaleskiego: Już w miesiącu grudniu 1832 i w styczniu rozchodziły się pogłoski w okolicy Tomaszowa, że w Polsce znowu wybuchnie rewolucya — zdawało się nawet niektórym, że słyszą kanonadę.

[2]) Dodatek V.

[3]) Arch. krajowe ZTB. 2590 (204/ggg 26/III. 1835) „Pie. W. z. P. 50 zł.“ — Prócz tego kwit tej treści: Wziąłem w xięgarni dzieł polskich na użytek tułactwa sprawy ogólnej na zł. reńskich srebrnych czterdzieści, kreutzarów pięćdziesiąt cztery Nr. 40 zł. k. 54. 1832, 15 grudnia, Lwów, Waleryan Pietkiewicz.

choć nieznanych“ [1]). Mimo tak dobrego mniemania o ogólnym stanie umysłów w Galicyi, czynił sobie jednak Pietkiewicz skrupuły co do dokonanych przygotowań na emigracyi. okazywał wielkie niezadowolenie z Zaliwskiego i powolnego jego zbliżania się do kresu; że sam poruczonej sobie misyi nie spełnił, nie zdawał sobie zupełnie sprawy a tak w istocie było, bo miasto rozgłoszenia wyprawy wśród obywatelstwa, zostawił tylko przygotowanie do niej W. Tyszkiewiczowi, a sam. ukryty tajemniczością po miesięcznym pobycie w Galicyi, wyjechał, nie przygotowawszy ani umysłów, ani realnych środków do rozpoczęcia wyprawy.

W. Tyszkiewicz miał zaledwie dwa miesiące czasu do poczynienia przygotowań w całej Galicyi, a przynajmniej we wszystkich cyrkułach wzdłuż granicy Królestwa. Wołynia i Podola. Było to po prostu niemożliwością, nietylko ze względu na konieczność ukrywania swych działań, jak też i ze względu na brak autorytetu w całej Galicyi. Cyrkuły tarnowski i sąsiednie dały się jako tako przygotować, w innych nie można było marzyć o posłuszeństwie, bo wszędzie uważano za jedyną prawie reprezentacyę spraw narodowych komitet lwowski. Ten zaś nic na razie w tej sprawie działać nie zamyślał, po części nie wtajemniczony nawet w przedsięwzięcie. Zresztą w tym właśnie czasie musiał znosić coraz silniejsze napieranie ze strony władz, które upewnione o jego istnieniu i rzeczywistym celu, postawiły sobie za zadanie rozwiązanie komitetu.

Jeszcze w październiku r. 1832 prezydent krajowy, baron Krieg, zdając sprawę ze swoich spostrzeżeń w Galicyi, specyalną zwraca uwagę na towarzystwa, które tu powstały [2]). Ma tu na myśli komitet galicyjski we Lwowie, który pod płaszczykiem humanitarności musi bezwątpienia inne nosić plany.

Zauważa wprawdzie Krieg, że przez pewien czas ustały czynności komitetu, który utracił wiele ze swego miru wśród obywatelstwa galicyjskiego. Szlachta bowiem galicyjska niechętnie teraz uiszcza składki, mimo presyi wywieranej na nią przez komitet, który wydał nawet odezwę do obywatelstwa. W niej podnosi, że każdego obywatela usuwającego się od składek na cele narodowe, uważać będzie za zdrajcę i złego Polaka i zbojkotuje go zupełnie

---

[1]) Rkp. zapp. List Pietkiewicza do Lelewela z Drezna. 23 stycznia 1833.

[2]) Archiwum namiestnictwa 1/gg własnoręczny raport Kriega Wiedeń 25/8 bez 1832.

w towarzyskich stosunkach. Pierwsze większe zebranie komitetu galicyjskiego we Lwowie, po kilkumiesięcznej przerwie, miało miejsce 13 lutego, dzień ten bowiem, jako dzień urodzin cesarza Franciszka, za najdogodniejszy dla upozorowania go przed władzami, został naznaczony na ogólny zjazd obywatelstwa, wszystkich kolektorów i kasyerów cyrkularnych komitetu galicyjskiego.

Zjazd, od dwóch tygodni, bo 31 stycznia, sygnalizowano z Wiednia[1]), dokąd wiadomość o nim doszła ciekawą drogą, bo *via* poselstwo rossyjskie, które donosiło, że w dzień urodzin Jego Cesarskiej Mości odbędzie się tłumny zjazd szlachty i emigrantów (ci ostatni najwięcej bowiem interesowali donosicieli), aby pod tym pozorem omówić kwestyę polskiej rewolucyi. We Lwowie wobec tego alarmu skonsygnowano wielu szpiegów, mimo to rezultat ich dociekań był bardzo skromny, skoro Krieg tyle tylko mógł donieść Wiedniowi[2]), że zjazd się odbył w istocie, że byli na nim obecni kierownicy patryotów galicyjskich: Ksawery Krasicki, Józef Baworowski, Jan Stadnicki, Izydor Pietruski i inni. Zgromadzenie członków komitetu, kolektorów i kasyerów miało miejsce u hr. Krasickiego pod pozorem prywatnych odwiedzin; na zebraniu tem uchwalono jeszcze tego dnia, to jest 13 lutego, złożyć na ręce prezydenta Kriega 3660 fl. 30 kr., jako datek na dom sierót. Wniosek ten nie przeszedł z łatwością, na zgromadzeniu była i opozycya, która utrzymywała, że ponieważ rząd na ogół składkom jest przeciwny, niema potrzeby przyczyniać się datkami, uzbieranymi właśnie za pomocą składki, większość atoli utrzymywała, że należy dotrzymać danego słowa i w trzechletnich ratach złożyć deklarowaną sumę 50.000 fl. W istocie w myśl uchwały zgromadzenia przyniósł hr. Krasicki jeszcze dnia tego osobiście baronowi Kriegowi pieniądze.

Dowodem na to, że dyskusya nad uiszczeniem składki była zawzięta, jest to, że trwała dzień cały, bo Krasicki przyniósł pieniądze dopiero o godzinie 8 wieczór, mimo, iż przyrzekł uczynić to już rano. Na Zgromadzeniu tem, pisze dalej Krieg, nie omawiano zdaje się innych kwestyj mimo krążących przedtem pogłosek, że będą poruszane sprawy ogólniejszej natury, mianowicie pańszczyzna, robocizny i t. d. W 10 dni później donosi arcyksiążę Ferdynand, gubernator Galicyi[3]) do Wiednia o tem samem zgro-

---

[1]) Arch. nam. Nr. 256/fasc. II. 10 luty 1833.
[2]) Arch. nam. 5/gg, 14 luty 1833.
[3]) Arch. nam. 299/ggg, fasc. II. ad 256. 24 lutego 1833,

madzeniu, że była tam poruszana także sprawa banku kredytowego, że jednak mimo to zgromadzenie było ściśle obywatelskie, a wychodźców żadnych na niem nie było, brakło także z obywatelstwa jednego z najbardziej dotychczas ruchliwych Izydora Pietruskiego; prócz tego miano tam rozpisać nowe opodatkowanie obywateli, przeto zachodzi podejrzenie, że prócz powyższych spraw omawiano i inne kwestye.

Te szczupłe, a niekiedy niezgodne wiadomości, zasięgnięte o zebraniu komitetu z 18 lutego, dały jednak władzom wiele do myślenia. Zjawienie się w stolicy całego składu komitetu kazało przypuszczać, że komitet ten na nowo odżył i rozpocznie swe urzędowanie. Przypuszczały władze, że komitet ten na razie odłożył mrzonki o niepodległości na bok i że program jego był mniej agresywny teraz, postawił on sobie tylko za zadanie i cel utrzymywanie ducha narodowego, udzielanie wsparć pieniężnych wychodźcom i nawiązanie stosunków bliższych z emigracyą. Naogół bowiem autorytet komitetu wielce osłabł, a szczególnie ciężkim ciosem była dla niego śmierć patryoty hr. Józefa Baworowskiego, który właśnie w tym czasie, bo 26 lutego 1833 r., nagle we Lwowie życie zakończył. Mimo tego zapatrywania na komitet galicyjski, wychodziły jednak władze z tego stanowiska, że niezwracanie uwagi na czynności komitetu, jakiekolwiek one są, rozzuchwal tylko działających, a nawet da im pretekst do jawnego zbierania składek, jakoby za aprobatą rządu. Uczyniono więc kroki, któreby przekonały członków komitetu, że rząd o nich wie i ich postępowania nie aprobuje.

„Ażeby się komitet usunął — pisze arcyksiążę Ferdynand, — wydało mi się stosowne użyć we wszystkiem łagodnych sposobów.“ [1]) Polecił przeto prezydentowi baronowi Krieg, ażeby się w kwestyi tej rozmówił z hr. Krasickim. Baron Krieg kazał więc hrabiego do siebie prosić i według relacyi miał z nim pierwszą rozmowę 26 lutego. W sposób „poważny i serdeczny“ oznajmił baron Krieg Krasickiemu, że istnienie towarzystwa, w skład którego wchodzą obywatele austryaccy, z planem dokładnie rządowi nieznanym, nie może być przez władze mile widziane, że towarzystwo takie może jedynie podkopać stosunek między rządem a krajem i (tu dodał groźbę) że wyjść to może na niekorzyść ostatniego; zwraca się przeto do hr. Krasickiego, znając jego oddanie się dla monarchy

---

[1]) Arch. Nam. Nr. 300/ggg, II. fas. ad 256, 27 lutego 1833. Arcyksiążę do Sedlnitzky'ego.

i kraju, ażeby w tym wypadku współdziałał z rządem i dopomógł mu do rozwiązania tego towarzystwa, w sposób, nie zwracający uwagi społeczeństwa; w przeciwnym zaś razie komitet uważany będzie za związek tajny. W przemowie tej chodziło Kriegowi o to, żeby odrazu kwestyę tę postawić w ten sposób, iżby Krasicki nie mógł wykręcać się niewiadomością. — Jednakże hr. Krasicki zoryentował się w sytuacyi i zastrzegł się przeciwko insynuacyom barona; nie zaprzeczył wprawdzie istnieniu komitetu, ale żadną miarą nie może on zasłużyć na miano towarzystwa lub związku; ponadto są jego cele ogólnie znane — mianowicie składki celem zebrania przyrzeczonej Jego Cesarskiej Mości kwoty na budowę domu sierót. Wszak składki te były przez byłego gubernatora księcia Lobkowitza własnoręcznie potwierdzone i dozwolone, a szlachta czułaby się dotknięta na honorze, gdyby jej nie dozwolono przyrzeczenia dotrzymać. — Odpowiedział na to Krieg, że wprawdzie książę Lobkowitz na składki pozwolił, ale nigdzie niema wzmianki, iżby właśnie praktykowany obecnie przez komitet sposób składki był dozwolony, mianowicie pewien procent z opodatkowania urbaryalnego i gruntowego; nie przeczuwał także Lobkowitz, że składki te staną się środkiem do wykonywania pewnej władzy i presyi na obywatelstwo. Nie jest także rządowi tajne, że składka wśród obywatelstwa przyniosła większe sumy nad te, które Krasicki prezydentowi złożył, ma przeto rząd prawo usunięcia tych przekroczeń. Krasicki nie sądził, aby było konieczne zaprzeczyć tym zarzutom Kriega, oświadczył więc, że w istocie suma zebranych pieniędzy przenosiła złożoną ratę, reszta bowiem została na wyraźne żądanie ofiarodawców użyta na wsparcie nieszczęśliwych wychodźców. — Wobec takiego przyznania się Krasickiego i wobec nadania wszystkim zarzutom cechy humanitarności, musiał baron Krieg uderzyć w podobny ton i w świetle dobroczyńcy wystawić rząd. Rząd ten, jak mówił Krieg, niema wcale zamiaru stawiać zapory prywatnej ofiarności mieszkańców, jednak mimo to nie może się zgodzić na powstawanie organizacyi, choćby ta nawet miała humanitarny cel, rząd zresztą sam z wielką litością odnosi się do wychodźców, udzielając im wsparć i paszportów na wyjazd. — Obstawał przeto baron Krieg i dalej przy tem, żeby ustały zorganizowane składki na dom sierót, a każdy obywatel sumę dowolną składał wprost na ręce kasy cyrkularnej swojego cyrkułu. Wobec tego wyraźnego żądania, Krasicki nie umiał na razie żadnych znaleźć argumentów — opierał się tylko, jak pisze

Krieg, dość długo, wreszcie jednak zdawał się zgadzać na żądanie rządu.

Rozmowa ta była więc pierwszym atakiem rządu na komitet; potem nastąpiły dalsze. Mimo bowiem zgody Krasickiego, było to pozorne tylko, należało się owszem spodziewać, że sprawa ta będzie omawiana na posiedzeniu komitetu i że na „dobrą wolę“ innych członków komitetu liczyć nie można, podejrzywano bowiem tych ludzi, że ze składek, w ten sposób ściąganych, osiągają pewne korzyści, nie zechcą przeto tak łatwo ustąpić. Wobec przewidzianego oporu miano jednak już w pogotowiu inne poważniejsze środki pozbycia się komitetu.

Po tem widzeniu się barona Kriega z Krasickim, miały miejsce jeszcze dwie ciekawe rozmowy między nimi w tej samej materyi [1]). Krasicki napotkawszy zapewne na opór w komitecie i sam zresztą nie chcąc zbyt łatwo i szybko ustąpić przed żądaniami rządu, przy następnej rozmowie śmielej wystąpił wobec barona Kriega. Zaznaczył mianowicie i o tem go przekonać usiłował, że celem popierania polsko-rossyjskich emigrantów konieczne jest istnienie pewnego rodzaju instytutu dobroczynnego. Nie omieszkał przytem Krasicki w rozmowie swej dać poznać swych zapatrywań politycznych, zapewniał więc, że partya Czartoryskiego czyli arystokratyczna, do której i on należy, żywi dla rządu austryackiego najgłębsze uszanowanie i przywiązanie i tylko z jego pomocą ma nadzieję, pragnie i chce uzyskać narodowość (die polnische Nationalität). Gdyby jednak szlachcie nadzieje te lub może mrzonkę tylko odebrano, wywołanoby wielkie niezadowolenie w kraju, a kto wie, możeby nawet szlachta dała się porwać do wybuchu czynnego, przez młodzież rozfanatyzowaną podburzona. Chciał przez to zapewne Krasicki ostrzedz rząd, żeby się nie posuwał do zbyt daleko idących żądań i powstrzymać go może widmem rozruchów od postanowienia, powziętego wobec komitetu. Krieg jednak groźbą odpowiedział na groźbę. Jeszcze raz zaznaczył, że rząd postępując w ten sposób, czyni to jedynie dla dobra obywatelstwa, w jego interesie bowiem leży, aby nie dopuścić do bezustannych „weksacyj“ pieniężnych i wywierania presyi nań w tym kierunku. Nie rozumie też łączności między zniesieniem tajnego związku a żywionemi nadziejami wśród szlachty i tu dodał, chcąc zupełnie jasno postawić kwestyę, że z polityką zewnętrzną państwa nie mają nic

---

[1]) Arch. Nam. Nr. 318/ggg, fasc. II. ad 256. Do Sedlnitzky'ego, 9 marca 1833.

wspólnego tego rodzaju zarządzenia, pod żadnym względem nie mogą one ani podsycać, ani niweczyć przez szlachtę żywionych nadziei. Co się zaś tyczy rozruchów, któreby mogły być zainicyowane, jako skutek zarządzeń rządu, przez młodzież entuzyastyczną, tych rząd niema wcale potrzeby się obawiać, posiada bowiem dość środków, aby szybko tego rodzaju zaburzenia zgnieść.

Widział więc teraz jasno Krasicki, że rząd postanowił wszelkimi środkami pozbyć się komitetu, „że powziął postanowienie nieodwołalne ograniczyć czynności jego partyi i że mu się nie uda rząd przez podstępne aluzye od tego odwieść“. — Rezultatem przeto ostatecznym tych rozmów było przyrzeczenie, złożone przez Krasickiego, że ponieważ partya jego do rządu jest przywiązana, przeto właśnie czynnie to okaże i zaprzestanie składek odtąd zupełnie.

Solenne to przyrzeczenie i zapewnienie nie uspokoiło jednak obaw władz galicyjskich, nie ufano bowiem wcale Krasickiemu. Przypuszczano, że komitet w istocie się nie rozwiąże, ale nadal istnieć będzie w tajemnicy i że również składki odbywać się będą w dalszym ciągu, z zachowaniem jednak nadzwyczajnej ostrożności. Wobec tych podejrzeń i obaw rozesłano okólniki do starostw i dyrektora lwowskiej policyi Sachera z poleceniem bacznego zwrócenia uwagi na to, co się w cyrkułach dzieje, czy nie odbywają się tam w dalszym ciągu składki i objeżdżanie w tym celu kolektorów po domach obywatelskich [1]).

Kiedy ze strony władz galicyjskich w ten sposób wywierano presyę na prezesa komitetu galicyjskiego, i z innych zupełnie sfer wyszło działanie, które ostatecznie przyspieszyło koniec komitetu. Prezes komitetu Ksawery hr. Krasicki [2]), podówczas starzec 60-letni [3]), był jedną z najwybitniejszych jednostek magnateryi galicyjskiej. Był to typ ogromnie ciekawy i czcigodny. Mimo sędziwego wieku, było w nim wiele jeszcze rzutkości i energii młodzieńczej, wiele zapału dla spraw wielkich i wzniosłych, było także zrozumienie dla postępu czasu, chociaż we wzięciu i trybie życia zachowywał tradycyę starodawną. Bez względu na przekonania polityczne był Krasicki przedewszystkiem patryotą i to właśnie nie pozwalało mu zamknąć się w ciasnem kole walk partyj-

---

[1]) Arch. Nam. 318/ggg.

[2]) Zygmunt Kaczkowski: Mój pamiętnik, str. 43.

[3]) Arch. kraj. Fasc. XIV. Nr. D. 1979. Protokół z Xaw. Krasickim w sądzie krym. lwowsk. 16 XII. 1834, rodem z Dubiecka cyrk. sanocki, lat 61.

nych; gdziekolwiek widział pracę, której celem była Ojczyzna, tam nie wahał się należeć bez względu na to, czy program tej pracy zgadzał się z programem partyi, której właśnie był zwolennikiem.

Mimo więc, że należał do partyi Czartoryskiego, widzimy go w gronie 21 skrajnych rewolucyonistów. I teraz także, chociaż się do planu Zaliwskiego nie zapalił, w chwili rozpoczęcia działań nie odmówi czynnej pomocy i skłoni do współdziałania członków komitetu, równie jak on odmienne wyznających zasady. — Mimo to Pietkiewicz, odjeżdżając, zostawił sprawę swoją Tyszkiewiczowi, nie mogąc zapewne z Krasickim dojść do żadnych rezultatów. Według listu [1]) Zarczyńskiego do Pietkiewicza, stały sprawy niezmienione do pierwszych dni marca i wtedy dopiero przybył Tyszkiewicz z oznajmieniem, „że bracia z nad Sekwany pospieszają wstępnym bojem kraj z letargu obudzić i na pole bitew po odzyskanie niepodległości wywołać“. Jest jednakowoż wszelkie prawdopodobieństwo, że ogłoszenie wyprawy miało miejsce nie dopiero w marcu, ale już w lutym, i to właśnie na owym zjeździe szlachty dnia 13. Wśród biorących bowiem udział w tym zjeździe, wymienia akt policyjny [2]) i Wincentego Tyszkiewicza, pozatem do rozgłoszenia wieści o przybywających z nad Sekwany, była to najstosowniejsza sposobność, wobec licznego mianowicie zjazdu obywatelstwa z wszystkich cyrkułów; że na zjeździe tym omawiano liczne i ważne kwestye, świadczą dalej całodzienne narady, o których treści różne domysły krążyły w sferach rządowych. Ciekawe, że z poselstwa rossyjskiego w Wiedniu już przedtem zawiadomiono kanclerza, jakie kwestye na owym zjeździe mają być poruszane, niesprytna jednak policya lwowska nie potrafiła, mimo tych wskazówek, zbadać istotnej treści omawianych na zjeździe spraw. Do tajności przyczyniło się wielce to, że zgromadzenie miało charakter prywatny i odbyło się nie w lokalu komitetu w hotelu Żorża, ale w mieszkaniu Krasickiego pod pozorem odwiedzin. Wówczas to ogłosił Tyszkiewicz, że dnia 19 marca 1833 r. rozpocznie się ruch, że równocześnie Francya, Włochy i Niemcy wybuchną. Wiadomość ta wywołała wśród szlachty konsternacyę i zdziwienie, że rzecz tak wielkiej wagi ukrywana była dotychczas w tajemnicy i że dopiero w przeddzień prawie wypadków na jaw wychodzi, mimo to jednak zapał dla sprawy był ogromny. Komitet porwany

---

[1]) Rkp. rapp. List Pietkiewicza do Lelewela. Tours, 28 października 1837.

[2]) Arch. Nam. 324/ggg II. ad 256. 2 marca 1833. Dodatek V.

został ogólnym entuzyazmem „pod sterem wahającego się starca długo niezdecydowany“ [1]); oświadczył, że sprawę będzie wspierał i udzielił też natychmiast zasiłków pieniężnych Tyszkiewiczowi; wyznaczył nawet w pojedyńczych cyrkułach swoje kasy, a ponadto pewnych ludzi, którzyby ułatwiali przeprawę za granicę przybyszom francuskim, ustanowiono także coś w rodzaju poczty własnej, dla ułatwienia wzajemnej komunikacyi. W. Tyszkiewicz, odjeżdżając w Tarnowskie, miał przysłać Krasickiemu plan działań, zostawiony mu przez Pietkiewicza. Tak więc zabrano się raźno do roboty, a jeżeli mimo tych przygotowań wszystkiego nie dokonano, to stało się to jedynie z powodu krótkości czasu, miesiąc bowiem dzielił jedynie rozgłoszenie wieści od rozpoczęcia partyzantki.

Obawy rządu były więc słuszne, działanie bowiem komitetu w istocie nie ustało, raczej przybrało ono charakter jeszcze bardziej czynny.

Wrócić tu jeszcze należy do stanowiska, zajętego przez Krasickiego w rozmowie z Kriegiem. Dał on mianowicie do zrozumienia prezydentowi obok ostrzeżenia, że młodzież egzaltowana mogłaby w razie ostrych zarządzeń władz zorganizować w kraju rozruchy, jeszcze i to, że partya jego polega jedynie na rządzie austryackim i od niego oczekuje pomocy. Było zapewne w intencyi prezesa komitetu skierować rozmowę na temat szerszy, dotyczący polityki austryackiej na zewnątrz wobec Polski i Rossyi, powszechne bowiem było mniemanie, że rozruchy w Polsce zakordonowej nie byłyby przez Austryę niemile widziane, chciał przeto Krasicki wysondować w tym względzie Kriega, jak rząd austryacki zapatrywał się na gotującą się wyprawę, czyby nie patrzył na to przez palce; a zarazem szło też o to Krasickiemu, aby groźbą rozruchów powstrzymać rząd od jego postanowień względem komitetu, który teraz właśnie miał się zająć przygotowaniami do wyprawy. Ten ostatni argument był jednak, jak widzieliśmy, zupełnie chybiony, mógł bowiem wywołać skutek wprost przeciwny, mianowicie spotęgować baczność rządu austryackiego, co też w istocie po części miało miejsce, jak świadczy tuż po rozmowie rozesłany okólnik.

Wincenty Tyszkiewicz, wchodząc w porozumienie z komitetem Galicyjskim, czynił to w znacznej mierze z praktycznego wyrachowania. Wiedział on, że nikt lepszego i większego nie wywrze wpływu na obywatelstwo, bo nie było poza komitetem żadnej

[1]) List Zarczyńskiego.

innej organizacyi w kraju. Sam na ogół poważany, nie posiadał za sobą żadnej organizacyi, którąby popierała jego żądania do obywatelstwa i jego działalność dla sprawy narodowej, — za przedstawicielkę tej, większość szlachty uważała jedynie zasłużony już w tej mierze komitet galicyjski. Pozatem był Tyszkiewicz wogóle niepewny w Galicyi, rząd bowiem patrzył na niego podejrzliwie z dwóch przyczyn, pamiętano jego proces polityczny i znano jego wybitną rolę w powstaniu. Nie uzyskał przeto pozwolenia na stałe osiedlenie się w Galicyi [1], a nawet mniej więcej na ten okres przypada nagabywanie władz, ażeby się zupełnie usunął z Galicyi [2].

Tetmajer pod datą 14 lutego zawiadamia Pietkiewicza, że Wincenty Tyszkiewicz wyjeżdża z Galicyi do Paryża, bo go „rząd już pędzać zaczął". Żyjąc przeto w ciągłej obawie, pracował Tyszkiewicz dorywczo, tembardziej, że nie ufał sam jeszcze w zupełności przyjściu do skutku przygotowywanej wyprawy, dochodziły bowiem wieści z Paryża o wypędzeniu członków komitetu i tych wszystkich, którzy przyczyniali się do zorganizowania wyprawy. Są pewne dowody, że między Pietkiewiczem a Tyszkiewiczem stanęła umowa, iż dla lepszego porozumienia się z emigracyą podąży Tyszkiewicz zaraz w styczniu do Paryża, powstrzymała go od tego jedynie wiadomość o wydalaniach z Paryża, obawiał się przeto, że nikogo z wtajemniczonych tam nie zastanie [3]. Wyjechał jedynie w ślad za Pietkiewiczem niejaki Pieczętarski, który na emigracyi miał niejako reprezentować sprawy galicyjskie, zaś w Galicyi na odwrót spodziewano się przyjazdu „członków pełnomocnych woli narodu Worcella, Zwierkowskiego, Bohdana Zaleskiego i Pietkiewicza" [4]. Oprócz więc krótkości czasu mnożyły się również przeszkody innego rodzaju, które powodowały nierówność w przygotowaniach i niepewność działania właśnie wtedy, kiedy szybkość i intenzywność była konieczna.

---

[1]) Archiwum krajowe: Z protokołu z Jerzym Tyszkiewiczem.

[2]) Ciekawe, że wszystkich aktów, dotyczących W. Tyszkiewicza tak w archiwum krajowem, jak w namiestnictwie brakuje, z wyjątkiem kilku odnoszących się do późniejszego jego aresztowania. Wiadomość powyższa z listu Pietkiewicza do Lelewela. Paryż, 21 maja 1833.

[3]) List Pietkiewicza do Lelewela. Tours, 19 stycznia 1834: „Czemu p. Wincenty roku przeszłego w styczniu, razem, jak obiecywał, lub w ślad za Pieczętarskim w pożar (Paryż) nie wleciał i przez to była przyczyna częzości misyi Pieczętarskiego.

[4]) Do listu z Tours, 28 października 1833.

Dopiero zbliżenie się Tyszkiewicza do komitetu i wspólna z nim praca kilkutygodniowa dała jaki taki rezultat. Że komitet w istocie do sprawy tej przylgnął, świadczy i to, że na zgromadzeniach owych brał pod uwagę kwestye, mogące trwalej całą sprawą narodową pokierować, szło o poruszenie mas pod hasłem wolności osobistej i uwłaszczenia chłopów „jako jedynej rękojmi przyszłej wolności kraju i narodowej exystencyi“ [1]. Jeżeli przeto później podnosiły się zarzuty, że w Galicyi wyprawa była najzupełniej niespodziewana, to będą to zarzuty niesłuszne, inna rzecz, że poczynione przygotowania były niedostateczne, ruch jednak jakiś i pewne prace poprzedziły wejście okręgowych do Galicyi, a co najbardziej podnieść należy, pracowano wspólnie bez względu na przekonania i partye [2].

---

[1]) List Zależyńskiego.

[2]) List Zależyńskiego: „Wszyscy zawiesiwszy fakcye, czekali echa od Wołoszczyzny (Włoch) i Niniwy (Niemiec) aby się porwać do broni“.

Dr. Hermina Naglerowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Legendowe postacie zakopiańskie.

II.

Ksiądz Stolarczyk.

(1847—1893).

(Ciąg dalszy).

Opisując ruch uliczny w Zakopanem w dzień słoneczny, gdy w pobliżu kościoła „około sklepów, około restauracyi, przewodnicy, gazdowie, furmani, goście włóczą się i potrącają“, a „około wozów stada góralek w czerwonych płachtach zbite w kupę gwarzą“ — podchwytuje Witkiewicz charakterystyczną chwilę, gdy „nagle robi się między niemi ruch, porywają się i przypadają do ręki jakiejś barczystej, wysokiej postaci w granatowej czamarze i słomkowym kapeluszu, idącej poważnie środkiem ulicy, z głową wyższą nad wszystkie, jakie się widzi: po trzy, po cztery kobiety, czepiają się każdej jego pięści, kapelusze gazdów uchylają się pokornie: to ksiądz Stolarczyk“.

I.

Ten patryarchalny stosunek, łączący księdza Stolarczyka z ludnością zakopiańską, był jego własnem dziełem i zasługą; dawniej bowiem, gdy Zakopane musiało się obywać bez kościoła, kiedy najbliższe świątynie znajdowały się w Chochołowie i Czarnym Dunajcu, górale wcale się nie odznaczali uczuciem szacunku dla księży i duchownych. „Matulu! wyzeńze te bezere do pola!“ — wołało dawniej dziecko do matki, widząc księdza, wchodzącego po kolędzie do chałupy. Zdaniem ówczesnych gazdów, mających jak

najgorsze wyobrażenie o księżach, „nad tyk księzów pono twardsych ludzi niemas“, bo „przeźre świat i boskom tajemność, a zdziorniki som nawiękse, nagorse“; zaś „te księze pieniądze to takim psim pukem wyńdzie, a nie uzyje tego chleba ten, co nie warce“. Do kościoła gdzie nosili dzieci do chrztu, także nie chodzili zbyt skwapliwie, raz, że było daleko, a powtóre, że bez tego obywali się wcale dobrze, tłumacząc sobie dowcipnie, że nie trzeba „telo się Panu Bogu naprzykrzać“. Wszak Pan Bóg jest wszędzie, więc niekoniecznie, gdy przyjdzie niedziela, trzeba drałować do kościoła. „Racej byś do lasu seł paciorek se zmówić, niźli teli cas w kościele siedzieć“, mawiali starzy górale z generacyi Sabały, woląc „przy pniaku w lesie se pomodlić“, aniżeli słuchać mszy świętej w Czarnym Dunajcu. Do spowiedzi też im nie bywało pilno, rozumowali bowiem, że „Ociec Stary“, t. j. Pan Bóg, stoi ponad wszystkiemi praktykami zewnętrznemi. „He! mawiali, zaś to i wyspowiada się człek, ale tem nie wypłaci, cheba trza będzie tam odpowiadać, kie spytajom.“ A zresztą „jakiegoś mnie, Panie Boże, stworzył, takiego mas“. Dyabła nie bali się również, uważali bowiem, że moc jego jest złamana. „I co sie dyabła mam bać, kie Bóg przenajświętszy za mnie cierpiał, to jemu odemnie zasię!“ Powtóre „Ociec Stary, pierw niźli świat stworzył, wiedział, jako na nim bedzie“. Że jednak bądź co bądź był to lud katolicki, więc do pewnych religijnych przepisów czuł się zobowiązanym, przedewszystkiem do postu, którego przestrzegał z nadzwyczajną ścisłością. Pozatem był wolnym od wszelkiej bigoteryi, z której zewnętrznych objawów, u kobiet n. p. szydził po prostu, i — jak drastycznie wyraża się Witkiewicz — w sadle świstaczem, w którego uzdrawiające właściwości wierzył święcie, widział daleko więcej mocy tajemniczej, niż w mszach i koronkach.

Ale zdarzały się chlubne wyjątki. Takim wyjątkiem w Zakopanem był między innymi gospodarz, Paweł Gąsienica, który na początku XIX. wieku, mniej więcej za czasów Staszyca, gdy jeszcze Zakopane należało do parafii w Nowym Targu, a potem do filii w Szaflarach, wybudował na swoim gruncie kaplicę murowaną (stojącą do dziś dnia obok starego kościoła na łączce przed cmentarzem) i opatrzył ją przyborami kościelnymi, wystarawszy się jednocześnie o pozwolenie odprawiania w niej kilka razy w ciągu roku nabożeństwa. Taki stan trwał do roku 1817, gdy w Poroninie stanął drewniany kościół, jako filialny do Nowego Targu, i gdy doń zabrano przybory z kaplicy zakopiańskiej, przyłączając je do parafii poronińskiej.

W roku 1832 uderzyła wolnomyślność górali na Podhalu także i Goszczyńskiego, który też w swym Dzienniku podróży do Tatrów tak pisze w tej kwestyi: „Wiara u górala jest głęboka, pobożność szczera. Księży ma w poszanowaniu, ale nie jest ich niewolnikiem. Umie i śmie oceniać osobistą ich wartość. Zdarza się naprzykład, że księdzu każącemu z ambony nie idzie jakby powinno iść w takiej chwili natchnionemu Duchem Świętym: uważaj tylko, a oto górale jeden za drugim wysuwają się z kościoła, skupiają się na cmentarzu kościelnym, wtedy jeden z nich, zazwyczaj sędziwszy i poważańszy, staje pośrodku i przemawia w duchu kazania lepiej, jaśniej, z większą godnością i namaszczeniem, niż kaznodzieja urzędowy, i bywa lepiej wysłuchany!

Podobne stosunki panowały w Zakopanem, wśród pół-dzikich górali, aż do roku 1847, w którym to roku, za staraniem księdza Józefa Stolarczyka, po utworzeniu miejscowego probostwa, stanął tu drewniany kościół. Budowie jego, przy której ksiądz Stolarczyk często własnemi rękami dźwigał belki, nowi parafianie zrazu przypatrywali się nie bez szyderstwa i pogardy, a gdy wreszcie kościół był gotów, nie brakło takich górali, którzy sobie po skończonem nabożeństwie, na wychodnem z kościoła, fajeczki zapalali o świece i lampki na ołtarzu; ale mimo to od tej chwili zaczął się wpływ na nich energicznego proboszcza, wpływ, który z biegiem lat całkiem miał okiełznać te półdzikie i rozhukane natury, a nawet taką w nich wszczepić pobożność, że w roku 1870 — jak to skonstatował Walery Eliasz — „ideałem marzeń górali stał się stan kapłański syna", i „dlatego tak dużo mamy księży z gór". Już to wogóle cywilizacyjny wpływ, jaki ksiądz Stolarczyk wywierał na swych zakopiańskich parafian, był zbawienny i dodatni pod wieloma względami. Dość powiedzieć, że gdy w chwili objęcia przezeń parafii była w całem Zakopanem tylko jedna kobieta stara, co umiała czytać, w dwadzieścia lat później całe młode pokolenie „modliło się na książce", a bardzo wielu umiało nietylko czytać, ale i pisać. Tępiąc różne zastarzałe nałogi góralskie, ksiądz Stolarczyk nietylko wpływał na ogładę i umoralnienie okolicznego ludu, nietylko oduczał pijaństwa, bijatyk i hulanek karczemnych, ale dbał o zachowanie czystości języka góralskiego, którym sam władał wybornie[1]), szczególny nacisk kładąc na to, by górale,

---

[1]) Urodzony w Wysokiej pod Jordanowem, ks. Stolarczyk był również Podhalininem. Wykształcenie odebrał w Podolińcu u OO. Pijarów.

przybywający z wojska austryackiego, germanizmami nie zakażali mowy ojczystej. Dzięki wpływowi księdza Stolarczyka, który to wpływ rozszerzał się zarówno z kazalnicy, jak z konfesyonału, jak z osobistych przyjaznych stosunków z ludem, bardzo wielu górali, dotychczas nie wylewających za kołnierz, „ślubowali“ nie brać więcej wódki do ust.

Słynne były kazania księdza Stolarczyka. Wygłaszane w gwarze góralskiej, zupełnie dostosowane do poziomu umysłowego i sposobu myślenia górali, nacechowane zdrowym chłopskim rozumem, a pełne prostoty, mówione po prostu, bez żadnego retorycznego patosu, były to arcydzieła w swoim rodzaju, tembardziej, że wymowny kaznodzieja, doskonale znający psychikę Podhalan, jeszcze pozatem był podszyty poetą, i to utalentowanym; tak, że bardzo często, w porównaniach zwłaszcza, w tem, co mówił z małej ambony, w której jego olbrzymia postać wydawała się tem większą, nie brakło prawdziwie poetycznego polotu. Pamiętam n. p. jedno kazanie, w którem między innemi mówił o niespożytości Kościoła katolickiego. Kościół ten — prawił — różne przechodził koleje, a zdarzały się nawet chwile, w których jego blask i chwała ulegały jakby zaćmieniu i upadku, chwile, w których wielu już zaczynało wątpić o nim, w których zdawało się niejednemu, że już ma się mu pod koniec. Ale to było złudzenie. Bo tak samo, jak te nasze ukochane Tatry, gdy przyjdzie czas słoty i niepogody, giną we mgłach i chmurach, tak, że czasem przez dłuższy czas nie widać ich zupełnie, i możnaby myśleć, iż znikły z powierzchni ziemi, iż się zapadły niepowrotnie, a gdy wreszcie wiatr rozpędzi mgły i słońce wyjrzy z za chmur, odrazu wszystkie szczyty znów, jak przedtem, wspaniale rysują się na błękitnem niebie, dumne, śliczne, jakby malowane; tak samo i Kościół katolicki, choć zdarzały się takie chwile dziejowe, iż go całkiem nie było widać po przez mgły zepsucia i upadku, raptem, gdy znów zabłysło słońce wiary i pobożności, ukazywał się w całej pełni swego boskiego majestatu i posłannictwa. Oczywiście, iż podobne porównanie łatwo wrażało się w mózgi górali, a tem samem rozjaśniało ich pojęcia i wyobrażenia. Bo księdzu Stolarczykowi chodziło przedewszystkiem o to, ażeby być zrozumianym przez swych parafian, ażeby trafić do ich naiwnych i prymitywnych form myślenia. W tym celu uciekając się do porównań, często w zupełnie homeryckim rodzaju, nie gardził też i takiemi, które całkiem poważnie brane przez górali, na inteligentnym słuchaczu niekiedy robiły wrażenie komiczne, humorystyczne, tak, iż mimowoli wywoływały uśmiech na

usta. a przynajmniej należało panować nad sobą, żeby się nie uśmiechnąć zbyt widocznie, coby niewątpliwie oburzyło przejęte audytoryum góralskie. Pamiętam n. p. kazanie, w którem ksiądz Stolarczyk mówił o dyable i różnych sposobach, których się chwyta ten nieprzyjaciel Pana Jezusa, by ludzi wieść na pokuszenie, by ich sprowadzać z prostej drogi cnoty i obowiązków, a wieść na bezdroża złych uczynków i występków. Bo dyabeł, gdy z aniołami walczy o duszę ludzką, na którą czyha, jak strzelec na kozicę, jak orzeł na młode jagnięta, nieraz ma wcale niełatwe zadanie, tak, iż musi chwytać się podstępów, a często rad nie rad musi przerwać swą zgubną robotę, gdy człowiek, n. p. pogrążony w modlitwie, wprost mu do siebie nie daje przystępu. „Tak naprzykład w tej chwili — prawił ksiądz Stolarczyk — jesteście zgromadzeni w kościele, wysłuchaliście mszy świętej, słuchacie kazania, i zdaje się wam, iż jesteście wolni od mocy dyabelskiej, że grzech wam nie grozi pod żadnym względem. Tak nie jest jednak. Dyabeł bowiem, który oczywiście nie może przestąpić progu tej świątyni pańskiej, nie przestaje myśleć o waszych słabych duszach, na które zaraz zastawi swe sidła, gdy tylko wyjdziecie z kościoła. Bo dyabeł postępuje z wami tak samo, jak te wiejskie dzieci, które w ten sposób bawią się ze złapanemi ptaszkami, iż im do nóżek przywiązują długą nitkę i potem niby je puszczają na wolność. Uradowana ptaszyna, wyrwawszy się z rąk, które ją trzymały w garści, uszczęśliwiona i przekonana, iż jest wolna, frunie ochoczo, by jak najprędzej znaleźć się z powrotem w swem gniazdku, ale tymczasem dziecko ściąga nitkę i nieszczęśliwe ptaszę spada na ziemię, bezradne i bezsilne. Tak samo dyabeł często postępuje z wami. Ot, w tej chwili n. p. puścił was wolno. Jesteście w kościele, modlicie się, i zdaje się wam, iż grzech wam nie da rady. Ale dyabeł, który was trzyma na nitce, stoi tam pod kościołem, na ulicy, i czeka cierpliwie, aż zaczniecie wychodzić z kościoła, by wtedy ściągnąć nitkę. Bo ledwo znajdziecie się na dworcu, zaraz was zacznie kusić i jednych, żeby poszli na wódkę do Riegelhaupta, drugich, żeby się zalecali do dziewcząt. Takie to są, widzicie, sztuczki dyabelskie. Bo dyabeł nie śpi. On nawet i tu w kościele nie przestaje broić. Bo iluż tu jest takich pomiędzy wami, co nie dlatego głównie przyszli na mszę świętą, żeby się pomodlić do Pana Boga, ale żeby zobaczyć znajomych, a potem z nimi iść do karczmy. A ileż to jest takich między młodymi, którzy tu przyszli w tej grzesznej myśli, żeby się spotkać ze swą frajerką. A ileż tu w tej chwili jest takich dziewczyn — nie chcę ich tylko wy-

mieniać z nazwiska, — które jeśli tu przyszły tak wystrojone, to — nie dla chwały Pańskiej, ale dlatego, iżby się podobać temu lub owemu, który dla tego samego powodu przyszedł w nowej cusze, w nowych portkach, w nowym serdaku, wiedział bowiem, że tu się spotka ze swą dziewuchą, że, pozierając ku niej, będzie jej przeszkadzał w modlitwie. Czyjaż to jest robota? Oczywiście, że dyabła, który tylko myśli o tem, żebyście grzeszyli nieustannie, żebyście się wysługiwali mu, jak żydowi, złemi uczynkami, chciwością, pijaństwem, rozpustą, lenistwem, lekkomyślnością, cudzołóstwem, nieuczciwością i t. p. grzechami, z których potem spowiadać się musicie przy konfesyonale, a ja muszę sobie głowę łamać, jaką wam zadać pokutę na zmazanie tych grzechów.“

Szkoda niepowetowana, iż nikt za świeżej pamięci nie spisywał tych kazań księdza Stolarczyka, bo że to były kazania jedyne w swoim rodzaju, to nie ulega wątpliwości.

Bywało na nich wiele osób z inteligencyi z Chałubińskim na czele.

W pierwszych latach, wkrótce po wzniesieniu kościoła, system, którego ksiądz Stolarczyk, jako kaznodzieja, trzymał się w celu umoralnienia i oświecenia górali, mianowicie karcenie ich *coram populo* z ambony, nie zawsze był bezpieczny, jako drażniący ich jeszcze napół-dzikie zbójnickie instynkty. „Publikując“ po imieniu tych, którzy postępowali wbrew etyce, przykrojonej nawet do miary niewielkich wymagań, o ile z jednej strony dla kontrastu wychwalał lepsze jednostki, głaszcząc ich miłość własną, o tyle z drugiej innych, bardziej opornych, okrywał niesławą, wytykając ich złe narowy i nałogi. A choć czynił to oględnie, z wielką toleraneyą w stosunkach życiowych, z uwzględnieniem różnych okoliczności łagodzących, jednak tem samem wyzywał ich krnąbrną butę i zawziętość.

O jednym z takich epizodów, niezmiernie charakterystycznym dla ówczesnych stosunków zakopiańskich, mianowicie o zajściu księdza Stolarczyka z ostatnim zbójnikiem, Wojciechem Mateją, co miał chałupę pod reglami, opowiada w swej książce N a p r z e ł ę c z y Witkiewicz. Rzecz miała się tak. Zrazu — jak opowiadał Sabała — Mateja „rad go widział, księdza kanonika“. Ale młody proboszcz, chcąc go skierować na uczciwą drogę, zaczął go „poblikować“ w swych kazaniach niedzielnych, t. j. dogadywać mu z ambony. Wobec tego Wojtek zapałał zemstą, co naturalnie równało się osobistemu niebezpieczeństwu dla „Jegomości“. Mateja zaczął się odgrażać między góralami, że sobie poszuka satysfakcye

na plebanii, odwiedzając komorę księdza plebana, czyli, że go przyjdzie ograbić.

Zaniepokojony tą wiadomością ks. Stolarczyk, obawiając się o swój dobytek, poradził się Sabały, który był dobrze z Mateją, co ma począć wobec takich gróźb Wojtka? Co robić? Czy może kraty do okien wstawić, albo poprostu wyjechać do Krakowa?

— Juści — odparł Sabała, — prosem ik piknie, kraty som nicem! Kiej Wojtek bedzie kciał weiść, to i bez kratę weńdzie; a bez te przycynę, co sie weźmie kawałek płótna, umaca się we wodzie, uwiąze się u kraty, kij se włozy, zaś potem kręcić, toz to kraty ze słupami razem do pola wyjadom! A kiej fryśny chłop, to odrazu hipnie bez okno na śrzodek izby. To ta nic nie płaci ku Matejowi. Cheba, kiej majom śrybło kany albo dudki, niekze to ozdzielom, a w trzok albo kielo miejscak pochowajom. to zaś jakby jedno mieli wzionć, coby drugie ostało!

Pleban usłuchał tej mądrej rady, ale mimo to nie miał spokoju. Wziął więc na odwagę i poszedł na drogę pod reglami „ka chadzał Wojtek, co go nie spotka; jużci kciał ś nim ugwarzyć skrony tego intarasu“. Spotkawszy go, rzekł doń, jakby nigdy nic: „Dzień dobr Wojtusiu! Cóz ta słychno?“ Mateja równie grzecznie i z uszanowaniem powitał jegomościa, poczem proboszcz, wdawszy się z Wojtkiem w rozmowę, zaczął przekładać, że nic niema w komorze.

— Co ta u mnie najdziecie — mówił. — Wiecie, co trzy papierki dadzą, to zaś pięć wezmą. A jeśli co jest, to dudki kościelne...

Skończyło się na tem, że skruszony Mateja dał słowo, iż nie ruszy kuferków plebana. „Toz to potem ksiądz — opowiadał Sabała — bił z ambony na zbójników, ale Mateja nie publikował!“ W ten sposób pijąc do niego wyraźnie, ile że więcej nie było już w Zakopanem zbójników, zachowywał co do jego osoby dyskretne *incognito*.

Zwalczając chętkę do kradzieży, która wielu górali i góralek cechowała jeszcze do ostatnich czasów, ksiądz Stolarczyk uciekał się do najrozmaitszych metod, bardzo oryginalnych nieraz. Oto n. p. wypadek, który się zdarzył jednej z pań. która w roku 1891 w lecie mieszkała w domu proboszcza przy ulicy Chałubińskiego. Któregoś dnia skradziono jej z werandy piękny szal. Podejrzenie padło na jedną z góralek. Zaszedłszy któregoś dnia w odwiedziny do swych lokatorek, ksiądz Stolarczyk. gdy się dowiedział o tej kradzieży, obiecał zbadać tę sprawę, co, jak mówił. przyjdzie mu

tem łatwiej, że znał obwinioną. Jakoż w niedzielę, gdy ją z ambony ujrzał w kościele, nim rozpoczął kazanie, kazał jej po nabożeństwie przyjść na plebanię, bo ma jej coś do powiedzenia. Gdy się stawiła na wezwanie, skarcił ją, że dawno nie była u spowiedzi, iż radzi jej to uczynić jak najprędzej. Gdy nazajutrz klękła przy konfesyonale, jegomość przedewszystkiem tak pokierował spowiedzią, że odrazu przyznała się do kradzieży owego szalu. Wobec tego kazał jej zaraz odnieść szal, skąd go wzięła, i prosić pokornie, żeby jej przebaczono ten karygodny występek. Jeszcze tego samego dnia skradziony szal znalazł się z powrotem u swej prawej właścicielki.

Wogóle w postępowaniu swem z góralami trzymał się ksiądz Stolarczyk zasady, że chociaż „duch ludzki nie da się złamać, jak kij na kolanie“, to jednak nie należy się tem zrażać i robić swoje. Wiersz Kochanowskiego:

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże,

wiersz ten „naszego Zygmuntowskiego psalmisty“ stale mu był przytomnym w pamięci [1]), gdy chodziło o cywilizowanie i umoralnianie górali. Robił, co uważał za swój święty obowiązek, a że plon z tego zasiewu nie zawsze wschodził odrazu, że nań zwykle musiał bardzo długo czekać, nie zrażał się tem bynajmniej. Przedewszystkiem nie ustawał w swej apostolskiej i duszpasterskiej pracy. A że odznaczał się nietylko wielką inteligencyą, ale i niezwykłą znajomością duszy górali (wszak sam był góralem krew z krwi i kość z kości), a przytem miał wiele zręczności życiowej, więc dążąc do swego jasno wytkniętego celu, nie przebierał w środkach, byle dojść do upragnionego rezultatu. Tak n. p. w pierwszych latach po założeniu parafii, gdy nie widział innej rady, by wolnomyślnych górali nakłonić do chodzenia do kościoła, zaczął ich do tego zachęcać... drobnemi pożyczkami pieniężnemi, a za przyjście do spowiedzi ofiarowywał im różne podarunki. I stopniowo udało mu się doprowadzić do tego, że czego nie sprawiła wątpliwa pobożność, to uczyniła wrodzona chciwość góralska. Tak to „Jegomość“ umiał posługiwać się nawet wadami swych parafian, byle ich zapędzić do Chrystusowej owczarni, do której wcale nie czuli nadzwyczajnego pociągu.

---

[1]) Cytuje go też ks. Stolarczyk w swym opisie *Wycieczki na szczyt Gerlachu*.

Zadanie było, wobec właściwości charakteru górali, niesłychanie trudne, ale na szczęście ksiądz Stolarczyk nie zrażał się łatwo, przeciwnie, miał tyle silnej i dobrej woli, że gdy się zawziął na zrobienie czegoś, to nie popuścił prędzej, dopóki choć w części nie postawił na swojem. Pod tym względem budził podziw nawet w góralach samych, najlepszy dowód, iż mu raz jeden gazda z Czarnego Dunajca, doskonale znający Zakopian, w następujących słowach wyraził swoje zapatrywanie w tej drażliwej kwestyi: „Jako że to Jegomość pomiędzy temi zbójnikami wytrzymacie: jedna noga tu, a druga tu, a ciupaga zaś tam, a fajki z pyska nie popuści, a oczy mu zaś na śrubie chodzom“. Co należało rozumieć w ten sposób, że co Podhalanin to zbójnik, że zawsze chodzi uzbrojony, kroczy z pewną zamaszystością, pipkę wciąż kurzy, a oczami na wszystkie strony strzela i wszystko widzi.

Bardzo być może, że inny na jego miejscu, mniej wytrwały i uparty, cofnąłby się w połowie drogi, zniechęciłby się w końcu, bo przy innem usposobieniu, przy innych właściwościach moralnych i fizycznych, nie zdołałby uzyskać tego arbitralnego wpływu, jaki niewątpliwie już w bardzo krótkim czasie stał się udziałem księdza Stolarczyka wśród górali zakopiańskich i okolicznych. Ale bo też młody pleban nietylko musiał sobie nadać stosowną powagę wśród swych krnąbrnych „owieczek“ (owieczek o prawdziwie wilczych instyktach), ale im przedewszystkiem imponował pod wieloma względami.

Najprzód, olbrzymiego wzrostu, był wyższym od najwyższych juhasów i gazdów o głowę. Następnie odznaczał się całkiem niezwykłą siłą fizyczną: dużą beczkę kwaszonej kapusty n. p. potrafił sam przenieść z piwnicy na furę. Po trzecie — co również czyniło go popularnym między góralami — znakomicie chodził po górach, wcale nie gorzej od najzuchwalszych strzelców, a gdy znużony przyszedł na halę, potrafił dla pokrzepienia się wypić całą konewkę żentycy. Wszystko to wyrobiło mu kolosalny autorytet wśród ludu, autorytet, który mu w końcu wyrobił stanowisko jakby jakiegoś króla-kapłana, teokraty, którego władzy i wpływów — jak się trafnie wyraża Witkiewicz — nie mąciła żadna inna siła, oprócz siły dzielnego temperamentu jego ludu. Bo „dla tych ludzi, którzy jak bohaterowie Homera mają cześć nadzwyczajną dla siły, dobrej budowy ciała, nóg lekkich i odwagi, ksiądz potężnego wzrostu, odważny, chodzący po górach na równi z najtęższymi kosiarzami, miał z pozoru, z pierwszego spojrzenia już pewien urok“. A że prócz tego odznaczał się, obok energii, wielką dobrocią i po-

błażliwością, taktem w postępowaniu, ba, prawdziwie dyplomatyczną zręcznością, a nadto miał wyjątkowy dar oddziaływania na kobiety, które pierwsze stały mu się powolnemi, więc niedługiego potrzebował czasu, by górale poznali się na jego przymiotach i zaletach, by doń zaczęli się odnosić z należnem zaufaniem i szacunkiem, a nawet niekiedy z czołobitnością, na którą zresztą, jako dobry i zabiegliwy duszpasterz, zasługiwał ze wszech miar.

Wielce przywiązany do swych parafian, a doskonale zagospodarowany na swej plebanii z ładnym ogródkiem, ksiądz Stolarczyk mało się wychylał z Zakopanego: najwyżej jeździł do Krakowa za interesami, lub do różnych przyjaciół-księży na odpusty. W większą podróż puścił się tylko raz w życiu, w roku 1870, ale za to, skoro się już zdecydował wyjechać na czas dłuższy ze swej parafii, objechał za jednym zamachem Europę, Azyę i Afrykę. Podróż ta, cztery miesiące trwająca, to w pierwszym rzędzie pobożna pielgrzymka do Ziemi Świętej, a następnie do Rzymu. Wyjechawszy przez Wiedeń i Tryest do Aleksandryi, w Kairze zrobił przedewszystkiem wycieczkę do piramid; Arabom zaś, którzy go, jak innych cudzoziemców, chcieli prowadzić na piramidę Cheopsa, oświadczył, gdy mu ofiarowali swoje usługi, że obejdzie się bez ich pomocy. „Ja ta zwyczajny gór — mówił, — mnie pomagać nie trzeba.“ Z Egiptu udał się do Jerozolimy, gdzie „choć to miejsce święte i dla księdza przyjemne“ już mu się dała uczuć tęsknota do Tatr, tak, że czuł się najszczęśliwszym, gdy po zwiedzeniu różnych miejscowości biblijnych i ewangielicznych, mógł zrobić wycieczkę na szczyty górskie, na Hermon i Tabor, na Antilibanon. Z Małej Azyi, z Bajrutu przejechał morzem, zwiedzając różne wyspy po drodze, do Konstantynopola, poczem przez Grecyę, Korfu, Briandisi, udał się do Neapolu. Tam przedewszystkiem zrobił wycieczkę na szczyt Wezuwiusza. Następnie udał się do Rzymu, skąd przez Wenecyę, Wiedeń wrócił zadowolony do Zakopanego.

Ferdynand Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dramat w polskiej twórczości ludowej.

CZĘŚĆ DRUGA.

Żywioł dramatyczny w twórczości ludowej.

(Ciąg dalszy).

§ 32. *b)* Obserwowaliśmy powyżej, jak motyw naśladownictwa i przemiany tworzył integralną zawartość intrygi komicznej. W grze przeciwników jedni wyprowadzali drugich w pole przybierając na się postać czy umarłych, czy widm, lub postaci świętych, by pod tą maską oszukać przeciwników, to znów w innych osnowach korzystano z niepoczytalności bohatera, a przebrawszy go w szaty osoby wyższego stanu, suggestyonowano go, iż on faktycznie jest tą osobą.

Wogóle osnowy te były przedstawieniem wesołego, nie mającego pretensyi do wielkości, jednolitego zdarzenia, wyrażonego w formie akcyi, które obudzało pewnego rodzaju upodobanie i śmiech, a przez nie było w stanie odpowiadające im wyrażenia uczuć doprowadzić do wyładowania się.[1])

Powyższe określenie, jest definicyą komedyi, którą jako przypuszczalny fragment „O komedyi“ Arystotelesa, znaleziono w „Anecdota Parisiensia“ Cramer'a, a który między innymi i Baumgart przyjmuje jako urywek „Poetyki“ greckiego filozofa.

Spójrzmy teraz na dalsze osnowy komiczne, w których ten motyw naśladownictwa splata się z wątkiem erótycznym wiaro-

---

[1]) Baumgart: Handbuch der Poetik. Stutgart 1887, str. 666.

łomności niewieściej i wytwarza osobną grupę farsy ludowej, pomysłami bardzo zbliżonej do farsy średniowiecznej.

Zbliżony do nowel włoskich Boccacia, jest wątek, opowiadający o przybyciu w odwiedziny do pięknej niewiasty dwunastu popów. Ledwie rozgościli się goście w chacie, gdy naraz rozległ się turkot wozu powracającego męża. Niefortunni kochankowie ukryli się w wielkim piecu, a mąż po przybyciu do domu, jakby o niczem nie wiedząc, zabrał się do palenia w piecu, a podpaliwszy drzewo, udusił dwunastu kochanków żony)[1].

Pokrewny pomysł spotykamy w opowieści następującej: chłop wyszedł sprzedać skórę z krowy. Po drodze chcąc odpocząć, przystanął pod chatą baby i widział, jak ta przygotowywała dla kochanka wieczerzę, same mu gotując przysmaki. Naraz nadszedł mąż. Baba schowała kochanka do beczki, gotową już wieczerzę poukrywała po różnych miejscach, a sama położyła się niby chora do łóżka. Mąż począł szukać wieczerzy, bo zaprosił chłopa ze skórą do siebie, ale nie było nic dobrego do jedzenia. Wtedy gość począł ściskać skórę krowią (w waryantach ma w torbie wronę) i niby pod wpływem jej wróżb, zaczyna wróżyć, że w tem lub owem miejscu są schowane te a te przysmaki. Skoro wróżby się spełniają, mąż kupuje od chłopa cudowną skórę (lub wronę), a nadto ofiaruje mu na jego prośbę próżną beczkę. Chłop odchodzi z beczką, a kochanek w niej ukryty musi się także okupić sowicie za wyratowanie z opresyi.[2])

Widzimy, jak naśladownictwo wróża, ów motyw przybierania pewnych cech obcych, splata się w tej osnowie z wątkiem farsowym żony niewiernej. Te same motywa, w innym tylko splocie akcyi, występują w dalszych osnowach, które tu omówimy.

Królewicz, do którego lud przyszedł ze skargą na biedę, postanowił pójść w świat, by się przekonać o biedzie. Po drodze spotkał jakiegoś „polaka“ (sic!) i spytał, czy nie widział biedy. Ten odrzekł, że właśnie była tu w krzakach, ale niech on się rozbierze, a konia mu odda do potrzymania, a zaraz ją znajdzie. Królewicz tak uczynił, szukał biedy, a choć jej nie znalazł, przekonał się, czem jest, skoro, wracając ku koniowi, nie znalazł ani konia, ani ubrania. Drżąc z zimna, zbliżył się ku chacie jakiegoś furmana, a korzystając z tego, że chwilowo w izbie nikogo nie było, skrył się w piecu. Za chwilę weszła do tej izby żona fur-

---

[1]) Zb. wiad. do antrop. t. IV., str. 199.
[2]) Ibidem, t. V., str. 18.

mana z kochankiem, klerykiem. Tańczyli oboje i bawili się. Naraz rozległ się turkot wozu powracającego furmana, który przywiózł z sobą jeszcze dwóch znajomych. Kleryk skrył się do pieca, żona zaś położyła się do łóżka, bo zawsze przed mężem udawała chorą. Szybko namówił królewicz kleryka w piecu, by mu dał swoje odzienie, a on go wyratuje z tej niemiłej sytuacyi. Ten zgodził się. Gdy furmani weszli do izby, a żona lamentowała, iż jest chora, wtedy królewicz przedstawił się, że jest doktorem i wyleczy tę chorą. Mąż obiecał mu paręset złotych, gdy mniemany doktor zapewnił, że żona dziś jeszcze będzie tańczyć z nimi. A potem począł chorej podawać różne proszki, przyniósł jej wino do łóżka, a przytem po cichu namawiał, że ona musi z nim tak tańczyć, jak z kochankiem.

Podochocona winem baba zaczęła teraz tańczyć i śpiewać z furmanami, a wszyscy ucieszeni szybkiem uzdrowieniem, sowicie wynagrodzili doktora. Wtedy ten przystąpił do dalszego dzieła. Oświadczył, iż powodem choroby tej kobiety jest zły duch, co mieszka w tym domu, a którego trzeba stąd wypędzić. Kropił więc kropidłem po chacie, a zwłaszcza tam, gdzie w piecu siedział nagi kleryk, wołając złego ducha, by wyszedł z chaty. Ale ten nie chciał wyjść. Wtedy cudowny doktor wrzącą wodą zaczął zlewać piec, że zły duch-kleryk, wyskoczył nago z chaty i uciekł.[1])

W dwu osnowach ostatnio omówionych, mamy już całe tematy komedyi ludowej, opartej na zaznaczonych tych dwu motywach nawzajem splecionych, erotyki i naśladownictwa. Wróż, postać wędrownego szarlatana, lekarza, jest wogóle bardzo swojską postacią w naszej komedyi, jak też i w obcej n. p. w francuskiej, gdzie postać doktora „mimowoli“ w komedyi Molierowskiej odgrywa wybitną rolę, że wspomnimy właśnie ową komedyę francuskiego komedyopisarza p. t. „Le médecin malgré lui“.

Przypuścić można, iż postać owa wzięła swój początek z misteryum, gdzie postać olejkarza, sprzedającego olejki dla obu Maryi, przedzierżga się zwolna w lekarza-szarlatana, jak to obserwowaliśmy już w naszych szopkach, w których osoba lekarza cudownego często się powtarza.

§ 33. Gdy w omówionych tematach podłożem intrygi dramatycznej jest naśladownictwo cech wróża, względnie cudownego lekarza, w poniższych dwu osnowach komicznych, intryga polega na naśladownictwie przedmiotu martwego, mianowicie na umieszczeniu

---

[1]) Materyały do antrop. t. VI., str. 138.

bohatera w worze, przyczem podstęp odgrywa zasadniczą rolę, jak to w treści podanych osnów ujrzymy.

Kobieta, mająca starego męża, chcąc ułatwić sobie widzenie się z kochankiem, udaje, że jest chorą; mąż zwozi lekarzy, a wreszcie na jej żądanie wyjeżdża daleko po uzdrawiającą wodę z morza. Tuż po wyjeździe męża żona odbywa orgie z kochankiem. Sługa, ujrzawszy to, biegnie za panem i opowiada mu o wszystkiem. Pan chce się naocznie przekonać. Zatem sługa proponuje, że wieczorem paląc w piecu, zamiast drzewa przyniesie w worku pana. Radzi przytem zaopatrzyć się w „racek" (nóż), by w razie potrzeby rozpruć worek i wyjść z niego. Wieczorem stało się tak. Podochocona pani, bawiąc się z kochankiem, każe parobkowi śpiewać. Wtedy rozgniewany pan rozdziera wór i bije gacha i żonę)[1].

Podobny motyw intrygi spotykamy w osnowie komicznej, zawartej w pieśni pod tytułem „Wór")[2]. U młynarza Marcina jest piękna córka, która bardzo podobała się panu[3]). Zawołał zatem do siebie młynarza, a traktując go winem, oświadcza, że Kasia musi być jego. Lecz młynarz za żadną cenę nie chciał córki dać na hańbę i oświadczył, iż ją raczej zabije. Wtedy pan każe się wsadzić w wór i zawieść do młyna, lecz nie stawiać koło młyna, by go nie zmielono, lecz każe się „położyć w komorze, gdzie jest Kasine łoże". O północy wór toczy się na łoże:

Kiej tam djabeł nie zboże,
Co się toczy na łoże —

woła przerażona dziewczyna.

„Cicho Kasiu nie wołaj,
Ja Kaniowski Mikołaj" —

odpowiada głos z wora.

Dochodzimy do dwóch ostatnich tematów komicznych, w których splatanie intrygi dowodzi już wysokiego poniekąd kunsztu kompozycyjnego, w ułożeniu kolejnych faz podstępu, naśladownictwa i formy pewnego rodzaju *qui pro quo,* po raz pierwszy tu zaznaczonej.

Oto żona szewca chodziła wieczorami do księdza w miłosnych zamiarach, a tłumaczyła się przed mężem, że idzie się mo-

---

[1]) Zb. wiad. do antrop., t. XVII. Gadki, str. 121.

[2]) Wójcicki. Pieśni ludu, str. 60. Zb. w. do antr., t. IX. Pieśni ludu śląskiego (49). Z. Pauli: Pieśni ludu pol., str. 70.

[3]) Pauli podaje, że panem tym był Mikołaj Potocki, starostą Kaniowskim zwany.

dlić. Mąż domyślał się czegoś, aż służący księdza pomógł mu w odkryciu całej prawdy. Doniósł oto w sekrecie, że ksiądz wyjechał, a gdy baba wybrała się do księdza, mąż ubiegł ją polami. i położył się do księdzowskiego łóżka. Gdy ta przyszła, okręcił jej głowę w poduszki i zbił okropnie, a potem poleciał krótszą drogą do domu i dalej buty szył. Aż przychodzi baba i skarży się. że chora, że trzeba jej lekarza. Mąż mówi, iż naprzód księdza trzeba, więc zaprosił księdza, który tymczasem do domu powrócił, a wtedy baba, wyrwawszy z pod głowy maglownicę, zbiła nią księdza, krzycząc: Co ty mnie zrobił, to ja tobie.[1])

Widzimy w tym temacie, jak podstęp, będący tu podstawą intrygi, łączy się ściśle z naśladownictwem, względnie udaniem przez męża-księdza przyczem wyprowadzona w pole kobieta. nie oryentując się w tem *qui pro quo,* i sądząc, że to od kochanka otrzymała tak bolesne cięgi, przy najbliższej sposobności rewanżuje się księdzu. Bogu ducha winnemu.

Na tym przykładzie zwłaszcza, jak i na innych zresztą poprzednio omówionych, widzi się, o ile przyznać trzeba autorowi teoryi „gry“ w komedyi doskonałe ujęcie zagadnienia. Całe splątanie akcyi polega tu na g r z e między czterema osobami: mężem i niewierną żoną na pierwszym planie, a księdzem i jego służącym z drugiej strony. Służący jest tym, który zawiązuje intrygę, poddając zdradzanemu mężowi plan przychwycenia żony na gorącym uczynku, mąż podejmując się roli pozornego kochanka, zastawia sidła podstępne na przeciwnika. w które też żona jego wpada. Przytem wszystkiem jednak występuje dalsza jeszcze gra, podstęp wyższy, że mąż, bijąc żonę w mieszkaniu księdza, nie zdradza się z tem, kim jest, tak, iż żona ulega złudzeniu co do osoby kochanka. Przytem mąż z przebiegłością, uprzedzając żonę w drodze do domu, zawiązuje nową intrygę, której ofiarą pada sam ksiadz, a pośrednio i żona. Widzimy zatem w tym temacie wyższy już stopień intrygi, umiejętniejsze splątanie podstępu z przypadkowością, około których, jak już wiemy, obracają się wszystkie udatne motywy komedyi intrygi. Spójrzmy jeszcze na ostatnie z tematów tej grupy, w którym podobnie łączą się te motywy przypadku z podstępem.

Młoda żona leśnego skarży się przed sąsiadką na starego męża. Ta radzi jej, by modliła się przed świętym Józefem. którego figura w lesie się znajdowała, a ten pewnie ją wysłucha

---

[1]) Materyały do antrop., t. X., str. 309.

i mąż umrze. Przypadkiem podsłuchał tę radę mąż, zatem śmietaną umalował sobie brodę na biało, zdjął figurę świętego i sam stanął na jego miejscu. Gdy żona modliła się o jego śmierć, wtedy ów święty dał jej radę, by zabiła kaczkę i dała mu do zjedzenia, potem szperkę itd., a on kolejno straci słuch, wzrok, aż umrze. Żona wysłuchała słów świętego i zaraz przygotowała jadło. Stary leśny po zjedzeniu tych rzeczy naprawdę począł udawać ślepca i głuchego. Wtedy kochanek leśnej przychodził za dnia do domu leśnego i siedział w jego obecności, wierząc, iż ten nic nie widzi i nie słyszy. Aż raz leśniczy wezwał swego syna, i pod pozorem, że przed śmiercią chce go nauczyć strzelać, każe sobie kolejno przynosić fuzyę, śrut, proch itd., a mierząc zwolna w kochanka z pełnem okrucieństwem, a jakby w niewiedzy, że on tam siedzi, zmusił go do szybkiej ucieczki, potem zaś chwycił bata i wybił swą żonę)[1].

§ 34. Rzut oka wstecz, na cały zestawiony tu materyał komedyi intrygi, przekonywa nas, iż twórczość ludowa w komedyi ma ściśle ramy tematu, poza które nie wychodzi. Cytowaliśmy już wyżej to zdanie Creizenacha, że „najulubieńszy temat mimusu — sprzeczki wiarołomnych kobiet, spotykamy w średniowiecznej literaturze komicznej (farsy) częstokroć takie sytuacye: że kochanek chowa się do beczki, lub że gniewny mąż chce zabić przychwyconego kochanka — znajdowały się w farsie XV. w."

Konstatujemy fakt, iż żyją one jeszcze w komedyi ludowej, żyją i są jedynym niemal jej wyrazem. Lud wchłonął prawdopodobnie te tematy dawnych fars, przetworzył je odpowiednio i przystosował do warunków lokalnych, jak to się zaobserwować daje w szopkach ludowych, w których spotykamy niekiedy śpiewy i sytuacye, zaczerpnięte wprost z modnych w danym czasie wodewilów i sztuk, na motywach ludowych opartych.

Lud ma jedną formę komedyi, jak o tem już wspomnieliśmy, formę n a ś l a d o w n i c t w a, względnie p r z e m i a n y, na której oparte są niemal wszystkie tematy omówione. W owym naśladownictwie występują trzy główne momenty: przemiana następuje albo: 1) w osoby realne, otoczone pewnym nimbem wyższości dla ludu, a więc przybranie na się postaci księdza, wróża-lekarza, czy wreszcie króla, lub 2) w istoty poza życiem będące, więc udanie umarłych, duchów czy postaci cudownych (Chrystus i apostołowie), nakoniec 3) w przedmioty nieżywotne, więc w wór, w figurę, ob-

[1]) Świętek: Lud Nadrabski Gadki (48), str. 420.

darzone zatem cechami antropomorficznemi, bo poruszają się, mówią etc.

Komizm, w tych tematach zawarty, wypływa li tylko z sytuacyi, z intrygi powiązanej w akcye. Odgrywa się tu przed nami gra, niekiedy wyszukana, w której przeciwnicy uzbrojeni w podstęp i przebiegłość, występują do walki, starając się nawzajem oszukać, wyprowadzić w pole. Posługują się przy tem właśnie ową formą przemiany i za tą maską dążą do przeprowadzenia pewnego planu bądź z powodzeniem, bądź z klęską, w czem się zaznacza różnica między komizmem objektywnym a subjektywnym.

Komizm tych sytuacyj obudza upodobanie i śmiech, a przez nie jest w stanie odpowiadające im wyrażenia uczuć doprowadzić do wyładowania się. Śmiech jest tu podstawą komicznego afektu: śmiech wywołuje miłe uczucia; radość jest środkiem, który uczucia śmieszności stawia w odpowiedniem oświetleniu, zatem może obudzić odpowiednie afekta śmiechu; przez celowy wybór tematu i odpowiednio programową budowę akcyi oba te afekty na przemian w grze występujące i do równoczesnego działania powołane wypełniają zadanie komedyi, sprowadzając katharsis komizmu)[1].

§ 35. Poza komedyą intrygi, która zajmuje wyłączne niemal stanowisko w twórczości ludowej, wspomnieć nam należy o dwu jeszcze grupach, poprzednio nie uwzględnionych, a mianowicie zwrócimy uwagę na zawiązki w komicznych tematach komedyi charakterów, tudzież na specyalny rodzaj komedyi fantastycznej.

Już Bergson, w swem studyum o komizmie p. t. „Śmiech" („Le rire"), zwrócił uwagę, że „kreślić charaktery, to znaczy typy ogólne jest przedmiotem wyższej komedyi. Nie tylko dlatego, że komedya przedstawia nam typy ogólne, ale, że jest to jedyna sztuka, zmierzająca do uchwycenia ogólnych rysów".

Zdajmy też sobie równocześnie z tego sprawę, że typ, jest to przedstawiciel pewnej cechy jakiegoś temperamentu, stanu moralnego przyzwyczajenia, gdy natomiast charakter jest to typ ogólny, łączący w sobie właściwości i cechy indywiduów.[2])

Twórczość ludowa nie zdobywa się na malowanie w swych tematach komicznych ogólnych rysów psychiki ludzkiej. Te ślady zawiązków komedyi charakterów to także tylko typy, jak to poniżej ujrzymy.

---

[1]) Baumgart, l. c., str. 688.
[2]) Vischer: Aestetik, B. IV., str. 1409.

Molierowską komedyę „L'avare" przypomina temat następujący: Kupiec skąpy nagromadził ogromne bogactwa. Pokryjomo przed wszystkimi kazał sobie wymurować tajemną piwnicę, zamykaną żelaznemi drzwiami, o której nikt, prócz związanego tajemnicą murarza, nie wiedział. Skąpiec miast do kościoła, schodził do swej piwnicy i tam cieszył się swymi skarbami. Raz powiedział żonie, że idzie do sąsiedniej wsi do kościoła, a tymczasem poszedł do swej piwnicy i w roztargnieniu zapomniał wziąć klucz do środka, lecz zostawił go w zamku, sam zaś zatrzasnął drzwi za sobą. Nie mógł więc w żaden sposób wyjść stamtąd. Żona daremnie robiła poszukiwania. Dopiero ów murarz, co budował tę skrytą piwnicę wpadł na pomysł, czy tam nie ma zaginionego. Poszli zatem wraz z żoną kupca do piwnicy, ale znaleźli skąpca na pieniądzach już toczonego robactwem.[1])

W temacie tym typowa cecha charakteru: skąpstwo doprowadza kupca do przejęcia się pewną namiętnością, co wyciska na nim piętno niezatarte, odbijające zbyt wyraźnie od zwykłego szablonu ludzkiej psychiki. Jest to — jak określa Bergson — wyzucie kogoś z jego własnej osobowości i wtłoczenia go w przygotowane ramy. Najbardziej zaś komicznem jest to wtedy, gdy czyjś charakter przejdzie w stan gotowych ram, w które inni mogą się wygodnie wcielać.

Gdy w tej osnowie owemi ramami jest właśnie ten nałóg rozkoszowania się zebranymi skarbami, w innej osnowie jest niemi inna cecha charakteru, a mianowicie lenistwo.

Pewna dziewczyna nie umiała wcale prząść. Gdy miała wyjść za mąż, płacze nad tem, kto jej utka wyprawę. Przychodzi stara żebraczka i obiecuje dokończyć to, co ona tylko zacznie, pod warunkiem, że ta ją zaprosi na wesele. Dziewczyna przyjęła propozycyę. Zatem wyprawa gotowa, odbywa się wesele, ale dziewczyna babki owej, żebraczki nie prosi, bo się wstydzi. W czasie wesela nagle drze się spódnica, później spadają inne rzeczy, robią się z nich żebracze łachmany. Inna wersya podaje, że nagle na weselu zjawia się żebraczka, choć nie proszona i zdradza panu młodemu prawdę, a on żonę wtedy utopił.[2])

Jak widzimy, są to drobne tylko rysy charakteru, nie malowidło wnętrza duszy ludzkiej, wymagające wyższej kultury, głębszego spojrzenia w psychikę ludzką, na co się zdobyć nie może

[1]) Mater. do antrop., t. VI., str. 134.
[2]) Wisła, t. XVIII., str. 325.

twórczość ludowa. Jest jednak widoczne, że pewien zmysł do obserwowania cech komicznych samego charakteru posiada i lud, jak to widoczne, zwłaszcza w pierwszej z wymienionych osnów. W ostatnio wymienionej osnowie spotykamy już ślad motywu fantastycznego. Owa żebraczka-prządka, co przędzie suknie ślubne, które później pod wpływem niespełnienia obietnicy rozpadają się i zmieniają cudownie w łachmany, wszystko są to już akcesorya typowe dla twórczości ludowej, bo tu cudowność i fantastyczność odgrywają dominującą rolę.

Musimy sobie zdać z tego sprawę, że w zasadzie pierwiastek cudowny nie jest zupełnie wyeliminowany z dramatu. Rzecz tę obszerniej omówimy poniżej, w rozdziele, poświęconym osnowom dramatycznym. Tu tylko pokrótce zaznaczyć nam przyjdzie, że postacie z bajki, rusałki, czarownice, olbrzymy, karły, aniołowie i dyabli, często występują w farsach i widowiskach czarodziejskich, choć w poważnym dramacie rzadko znajdują miejsce.

§ 36. W naszych wątkach komedyi fantastycznej, najpopularniejszą jest postać dyabła.

Jedna z najulubieńszych postaci twórczości ludowej, wchodzi jako współaktor do akcyi dramatycznej pewnych osnów, tracąc w zasadzie cechy nieziemskie, a występując głównie w postaci ludzkiej.

Takim jest on w podaniu mazurskiem, gdzie mowa jest o ubogim gospodarzu, co żyjąc w nędzy, wezwał raz dyabła do pomocy. Ten się zjawił, z tem zastrzeżeniem obiecując swą pomoc, jeśli gospodarz duszę mu zapisze. Gospodarz zgodził się na żądanie pod warunkiem, że dyabeł napełni mu miarkę złotem. W przeciwnym razie nie odda mu duszy. Gospodarz podstawił mu miarkę bez dna nad dołem od kartofli, a dyabeł nie mógł miarki napełnić.[1])

Inny wątek opowiada o karczmarce, oszukującej chłopów przy liczeniu. Gdy chłopi jej to wytykają, ona zaklina się na dyabła, że nie oszukuje. Wtedy dyabeł się jawi i porywa ją. Tegoż wieczoru przemienił ją w kobyłę i na niej przyjechał do kowala, by mu ją podkuł. Kowal ociągał się, a gdy wreszcie brał się do kucia, kobyła szepnęła: „Tylko ostrożnie, bom ja karczmarka z Nakomiad“. Kowal struchlał. Nie mógł dalej pracować. Aż zapiał kur, a z kobyły zrobiła się kobieta. Była niemal obłąkana i wkrótce umarła.[2])

[1]) Wisła, t. VII., str. 10.
[2]) Wisła, VII. „Wierzenia mazurskie“. Podania.

Nie mamy tu w zasadzie akcyi. Wątek pierwszy polega na fortelu chłopa, który wedle pojęć ludu jest często sprytniejszy od dyabła, drugi wątek cechuje podkreślona powyżej przemiana.

Zdecydowane formy dramatyczne ma temat komedyi, osnutej na podaniu o dyable Borucie. przyczem całość robi wrażenie jakiejś „komedyi kontuszowej“.

W ciemnym lochu łęczyckiego zamku, siedział na beczce jakiś szlachcic i pił z antałka. Był to dyabeł Boruta, pilnujący skarbów zaklętych w zamku. Znudziło mu się już w lochu. więc postanowił zamknąć podziemia i przejść się po świecie.

U szlachcica Kaliny, o milę od łęczyckiego zamku. huczna zabawa, bo wydaje on zamąż najstarszą córkę. Już było po ślubie, miano przejść do oczepin panny młodej. gdy nagle ukazał się w drzwiach nowy gość, ubrany wspaniale w karmazynowym żupanie. pasie złotolitym. Kiwnął zebranym głową niedbale i nie zdejmując czapki, usiadł na ławie. Kapela grać przestała, goście oniemieli. Gospodarz, przystąpiwszy do gościa, jako do nieproszonego, wskazał mu drzwi, lecz ten nie ruszając się, rzekł: „Pić“. Pan Kalina kazał mu podać gąsior miodu i czarkę, lecz ten czarkę cisnął ku ziemi, a do ust gąsior przytknął i wysączył do dna. Szlachcie się to podobało. Nieznajomy wąsa podkręcił, a ujrzawszy beczkę miodu, czop wyrzucił, a rozdziawiwszy paszczę zwolna wszystko wytrąbił, wtedy otarłszy usta. krzyknął na kapelę o muzykę i porwał za rękę pannę-młodą. Wrzasnęła przerażona dziewoja, a gdy ją ciągnie mimoto, w jej obronie staje pan młody i wyzywa zuchwalca na szable, skoro się tamten ociągał, wyciął mu policzek. Przyszło do pojedynku. Ale pan młody, mistrz w szabli, zadał mu cięcie i zranił w rękę. A oto kur zapiał, a Boruta znikł, pozostawiając po sobie tylko zapach siarki i smoły.

W ciemnym lochu lizał się z ran Boruta i narzekał na szlachtę, która się lepiej bije, niż dyabeł. Odtąd już nie wychodził z lochu łęczyckiego.[1])

Mamy pewne wątpliwości, czy cały ten temat komedyi jest produktem twórczości ludowej. Świetna charakterystyka Boruty, jako buńczucznego, pełnego animuszu szlachcica, cała ta scenerya dworu szlacheckiego, na tle której odbywa się akcya, sprawność w szabli pana młodego, skłonność do niezmiernego pijaństwa podkreślona tak udatnie u Boruty, wszystko to każe nam przypuszczać autorstwa raczej szlachty, niźli ludu.

[1]) Kolberg: Lud, serya XXII., str. 259.

Lud ma swych dyabłów własnych, czy Rokitę, czy Kusego, lub innych, Boruta to wogóle dyabeł „pański“, szlachecki. Niemniej przyjęła się ta osnowa pośród ludu, skoro ją z ust jego. zapisał Kolberg.

Temat sam zaliczylibyśmy do komedyi charakterów. Cała akcya jest tu wywołana postępowaniem nieznajomego, co wszedłszy do szlacheckiego domu, poczyna sobie zuchwale, nieprzystojnie. Cała zawadyacka, nieokiełzana żywiołowość charakteru szlacheckiego została tu odmalowa z rozmachem i pewnem zacięciem karykaturalnem. Typowa awanturniczość, wyrażona w obcesowem, niegrzecznem powitaniu obcego sobie domu, żyłka pijacka — dawne owo „pij — a popuszczaj pasa“ i staczaj się pod ławę. przytem wrodzona zalotność, zaznaczona w chęci tańców z panną-młodą, a wreszcie szukanie zwady i pewność siebie, spoczywająca na ostrzu korda, oto są nader trafnie ujęte cechy charakterystyczne braci-szlachty, skupione w postaci, będącej jakby właśnie syntezą cech ujemnych całego stanu, w dyable Borucie. Spotykamy w naszym materyale jeszcze jeden wątek komedyi fantastycznej, w której naprawdę fantazya ludowa odgrywała główną rolę. Jest to wątek, oparty na motywie Ikarowym, którym fantazya ludowa lubi się zabawiać, wytwarzając jeszcze przed wynalezieniem dzisiejszych ptaków powietrznych, własne skrzydła i przyrządy lotnicze.[1])

Oto królewicz wziął skrzydła, które miał jego ojciec sporządzone i poleciał do sąsiedniego królestwa. Tu został łowczym. A na wyspie mieszkała córka króla Do niej raz poleciał na skrzydłach, wpierw się ozłociwszy pozłótką, a na jej pytanie, kto on, odrzekł, że anioł z nieba. Odtąd stale bywał u niej. Aż król, dowiedziawszy się o tem, chciał się przekonać, kto to odwiedza jego córkę, i pod jej dzwiami kazał polać smołę i posypać ją piaskiem. Rano znać było ślady nóg na smole. Król kazał zrewidować wszystkie mieszkania. Aż przyłapano, że buty łowczego były smołą powalane. Gdy król rozgniewany chciał ich oboje spalić, córka prosiła, żeby im raz jeszcze pozwolił iść na przechadzkę. Wtedy oboje odlecieli do ojca królewicza.[2])

§ 37. Reasumując nasze uwagi o całym tym materyale o pierwiastku komicznym, dochodzimy do wniosku, iż lud w swej twórczości wytwarza własną na motywach swojskich opartą komedyę. która wprawdzie nie dochodzi do wyrazu w formie sce-

---

[1]) O motywie Ikarowym wspomnimy gdzieindziej obszerniej.

[2]) Zb. wiad. do antrop., t. XI. Podania (10).

nicznej, tkwi jednak *in crudo* w poezyi ludowej. Rzec można, iż całe osnowy i tematy komiczne, zawierają w sobie dramatyczną treść, która jednak jest jedynie opowiadana, a nie przedstawiana.

Że jednak niektóre tematy są w sobie skończonemi komedyami, przekonywa nas o tem n. p. komedya „Z chłopa król“ Baryki, której temat tkwi w narratywnej formie pośród ludu, a przybrał kształty sceniczne już w XVII. w.

W omówionych osnowach kryje się więc znów cały mythos komedyi, surowy niejako materyał, niezbyt jednak bogaty, z którego dramaturg wyjąć może motywa swojskiej komedyi. Zwracaliśmy już w ciągu naszej pracy uwagę, że lud jako twórca komedyi nie wychodzi poza pewien poziom początkowy rozwoju. Precyzya zawiązania akcyi komicznej nie jest dla prawdziwego dramaturga rzeczą małej wagi. Twórcy ludowi dochodzą w tym razie do pewnej formy, formy powiedzmy łatwiejszej, tj. do komedyi intrygi. Umieją oni łączyć podstęp i przypadek w śmiałe niekiedy kombinacye, zawsze jednak posługując się przytem pierwotnym sposobem maski, a mianowicie naśladownictwem. Ono wiedzie ich do śmiałej przemiany, czy w istoty o wyższem znaczeniu, czy w istoty nierealne, nieziemskie, lub wreszcie w przedmioty fizyczne, materyalne.

Naśladownictwo cech postaci naśladowanych jest niemal wyłącznie zawiązkiem gry komicznej, w której występują do walki przeciwnicy, dążąc wzajemnie do wywiedzenia się w pole.

Ta gra jest podstawą akcyi scenicznej, w której kryje się cała komedya. I podkreślamy to raz jeszcze z naciskiem, iż na tych przykładach narratywnej komedyi ludowej widzi się najdosadniej, iż akcya jest rzeczą tu pierwszorzędną, i ona dopiero wytwarza czy typy, czy charaktery ludzkie. Tu raz jeszcze uznaje się trafność określeń Vischera, który twierdził, iż koncepcya dramatyczna wychodzi nie z charakteru, ale z sytuacyi.

Akcya sama zarysowuje tu kontury charakteru, czy będzie to podstępny dłużnik, czy chytry wierzyciel, bogaci w fortele złodzieje, lub łatwowierny młynarz, dowcipny ladaco, czy chciwy lub chełpliwy dziad-żebrak, a wreszcie ta „mizerya“ przebranych księży, mężów oszukanych, żon wiarołomnych, kochanków tchórzliwych, wróżów-szarlatanów, zalotnych starostów, aż wreszcie znajdziemy w tej galeryi i typ skąpca i leniwej dziewczyny, a na koniec dyabła, czy chłopskiego o niewielkim sprycie, czy szlacheckiego, sławnego Borutę.

Oto jest życie tych ludzi, których fantazya ludowa wplątała w sytuacye bez wyjścia, w sceny komiczne, w intrygę podstępną, a niebezpieczną. Dużo werwy i rozmachu jest w tych pomysłach, którym nie brak i nerwu dramatycznego i komicznej siły, niewyszukanej a pierwotnej, niemniej dla duszy ludu charakterystycznej.

Tu tkwi racya, wypowiedziana w zdaniu Bergsona. iż „komedya jest znacznie bliższą realnego życia, niż dramat. Są sceny z życia realnego, tak blizkie wyższej komedyi, iż teatr mógłby je sobie przyswoić, nie zmieniwszy w nich ani słowa".[1])

Z życia realnego wyszła też komedya ludowa. Sceny śmieszne, burleskowe codziennych wydarzeń przeniósł lud do swych opowieści i pomysłów twórczych i w nich tkwią one w całości.

Mógłby je przyswoić sobie teatr ludowy, nie zmieniwszy w nich ani słowa.

---

[1]) Bergson: Le rire, cyt. wedle pol. wydania.

Dr. Adam Brzeg-Piskozub.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika literacka.

Kilka uwag o metodzie wydawniczej średniowiecznych źródeł.

(Z powodu ukazania się dzieła: **„Metryka Księstwa Mazowieckiego z XV.—XVI. wieku.** T. I. Księga oznaczona Nr. 333 z lat 1417—1429." Pomników prawa wydawanych przez Warszawskie Archiwum Główne, T. V.).

Wszelką publikacyę, dotyczącą Mazowsza, powitać musi z zadowoleniem historyk, prawnik, heraldyk, bo dotychczasowe nasze wiadomości o tej dzielnicy są bardzo skąpe, a ze względu na jej odrębne w Rzeczypospolitej stanowisko, zawsze niezmiernie ciekawe. Do ubogiej literatury mazowieckiej, składającej się z *Kodeksu dyplomatycznego mazowieckiego* (zresztą niekompletnego), z *Księgi ziemi czerskiej* i Semkowicza Wł.: *Mazowieckich przywilejów rodowych z XIV. i XV. w.*, oraz tu i ówdzie rozsianych, zresztą nielicznych zapisek mazowieckich, przybyło w ostatnim czasie poważne wydawnictwo *„Metryka Księstwa Mazowieckiego"* staraniem i nakładem Archiwum głównego w Warszawie. Treść jego nie zawiedzie czytelnika. Zrąb główny tyczy się wprawdzie sprzedaży nieruchomości, ale i tu znachodzi się niewątpliwie bogaty, a nieznany materyał do geografii historycznej, topografii i prawa prywatnego. Poza tem garść zapisek heraldycznych z naganą szlachectwa, które rozszerzają naszą wiedzę o mazowieckiem zasiedleniu rodowem. Część ich wydrukował wprawdzie Semkowicz

w „Wywodach szlachectwa polskiego w XIV.—XVII. w.“ [1]). ale nie wszystkie [2]). Tu i ówdzie znajdzie się szczegół ciekawy z dziedziny kultury i cywilizacyi Mazowsza. Blizkie sąsiedztwo z Prusami powoduje powszechne używanie miary chełmińskiej, immigracyę w obręb Mazowsza mieszkańców Prus, niewiadomo. czy jeszcze szczątkowych spadkobierców dawnych Prusaków. czyli też już Niemców, metonimicznie nazwanych „Pruteni“ [3]). Już z początkiem XV. w. przemyślny Gdańszczanin nawiązuje stosunki handlowe z Mazowszem i cenne „wańczosy“ z polskich lasów wywozi za morze [4]).

W epoce tej już rodzi się Nowa Warszawa, wprawdzie dyplom jej erekcyjny jest z doby wcześniejszej, ma pochodzić z 1414 r., tu jednak spotykamy się już pod r. 1428 z wójtostwem miasta Nowej Warszawy [5]). Z dworem książęcym nawiązujemy znajomość przez rozrzucone notatki o śmierci jego kanclerza i mianowaniu nowego [6]); stare piastowskie umiłowanie łowów każe księciu przy zdziałanych darowiznach czynić ekscepcyę na swoją korzyść z królewskich zwierząt: żubra, łosia. sokoła i rysia [7]).

Całkiem nieoczekiwanie na kartach metryki mazowieckiej spotykamy dawnych znajomych z dworu Władysława Jagiełły, żupników włoskich, Antoniego i Leonarda [8]). Z jakiego powodu układ ich z królem Jagiełłą o wydzierżawienie żup i spis rozchodów, pokrytych z ceł dzierżawnych, znalazł się w metryce mazowieckiej, odgadnąć trudno.

Sam układ metryki mazowieckiej jest dość chaotyczny pod względem chronologicznym. W niektórych częściach idą kolejno zapiski następstwem chronologicznem i to nietylko w obrębie lat,

---

[1]) Metryka Ks. Mazowieckiego nr. 261, 484. 783, 880 (bez daty); Semkowicz Wł.: Mazowieckie przywileje rodowe z XIV. i XV. w. nr. 79, 81 (bez świadków); 92 (bez świadków), 74 (z datą 20. V. 1425).

[2]) Metryka nr. 390, 581, 678.

[3]) „Famosa Anna Jacobi Pruteni filia, advocati nostri de Czirsko“ nr. 54.

[4]) 1427. 29. I. „Herman Ragge, civis de Gdansk“ nr. 844

[5]) Nr. 667.

[6]) O śmierci kanclerza Pawła syna Grzymisława z Borzewa, str. 117. O mianowaniu kanclerzem dworu wielebnego pana Gotarda, doktora św. Dekretów, str. 121.

[7]) Nr. 267, 640, 728, 768.

[8]) Nr. 3. v. Ptaśnik: Włoski Kraków za Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły. Rocznik krakowski. T. XIII., str. 66—85, nadto *passim.*

lecz i w obrębie dat miesięcznych i dziennych, to znów tłoczą się między sobą bez wszelakiego porządku.

Bezład ten wyjaśni przykładowa następująca tabelka:

Nr.	Data	Nr.	Data	Nr.	Data
407	26. XII. 1426	415	8. I. 1427	422	15. II. 1427
408	wrzesień 1425	416	25. X. 1426	423	22. VIII. 1426
409	26. XII. 1426	417	13. I. 1427	424	4. III. 1427

Zapiski, leżące w interwałach między wskazanymi numerami, idą znów prawidłowo, a w dalszym ciągu po wielokrotnie porządek chronologiczny to się ustala, to się ponownie gmatwa. Począwszy zaś od nr. 794 aż do końca, zapiski biegną całkowicie w nieustalonym porządku; wśród rozrzuconych lat 1425, 1427. 1428, 1429, cały szereg zapisek niedatowanych, także dwie z 1313 i 1343 r.

Gdzie szukać przyczyny tego zamieszania chronologii? Żeby te zapiski były wypisem, nie zaś wpisem, to znaczy w stosunku do powstania dokumentu czynnością następczą, nie zaś uprzednią, przypuścić niepodobna. Zawiłość chronologiczna dałaby się wprawdzie wyjaśnić dowolnością czasowych okresów, w których strony powodowe zgłaszały się do oblatowania, względnie do wciągnięcia aktów do ksiąg, lecz temu przeczy stanowczo rozkazująca formuła *optativu*, która kończy częstokroć zapiski: „duo privilegia scribantur, scribatur privilegium“.

Nie można też winy przypisać złemu zszyciu foliów: zapiski są przeważnie krótkie, mieszczą się po trzy na jednej stronie, rzadko przekraczają jedną stronę. zresztą adnotacye kart rękopisu, czynione przez wydawcę na marginesie publikacyi, wyjaśniają aż nadto, że zapiski mieszczą się *in continuo* w rękopisie i że bezład ich nie wyniknął z winy introligatora.

Wprawdzie wydawca zaznacza w przedmowie[1]). że papier w XV. w. nie był jeszcze zbyt tani, że notaryusz i księgi nie zawsze były pod ręką. że w zeszytach zostawiano puste stronice i karty, na których przy pierwszej sposobności zapisywano noty o czynnościach albo darowiznach wcześniej uskutecznionych. albo zapisywano na nich w całości dokumenty i przywileje daleko starsze, to jednak wytłumaczy nam. że na powstałem *vacuum*, którego nie wypełniła treścią swoją zapiska z 25 października 1426 r.[2]), opisano ją obustronnie, zapiskami z 8 stycznia 1427 r.[3]) i 13

[1]) Str. V.
[2]) Nr. 416.
[3]) Nr. 415.

stycznia 1427 r.[1]), jakim jednak sposobem między zapiski nr. 425 i 427 z 14 kwietnia 1427 r. wtargnęła zapiska nr. 426 z 1 stycznia 1429 r.? Trzebaby chyba przypuścić, że w miejscu tem właśnie tyle zachowano przestrzeni, ażeby można wcisnąć w nie jakąś późniejszą zapiskę, choć i to przypuścić trudno, zwłaszcza, że notka z 1429 r. rozrywa ciągłość zdziałanych w jednym i tym samym terminie czynności.

Przeglądnięcie całego zasobu zapisek mazowieckich nasunęło nam na myśl przypuszczenie, zresztą głębiej nieugruntowane, że księga metryki mazowieckiej nr. 333, która właśnie tworzy podstawę publikacyi, jest odpisem współczesnym z seksternów zniszczonych i uszkodzonych. To wyjaśniałoby cały bezład chronologiczny zapisek, których odpis ówczesnym obyczajem pisarz sporządzał z całą beztroską o porządek czasowy, w miarę, jak seksterny całkowicie wypełnione lub tylko luźne notki, rzucone na folia, dostawały mu się w rękę.

W przedmowie wydawcy nie spotykamy się z żadną pod tym względem wskazówką, jakkolwiek jemu różna barwa atramentu, jednostajny lub urywany dukt ręki, pozwalały najlepiej rozstrzygnąć, czy mamy do czynienia z odpisem, czy też z rękopisem, powstającym stopniowo w miarę wnoszenia zapisek.

Jednakowoż w przedmowie niczego takiego autor nie zaznacza, coby się naszemu przypuszczeniu wręcz sprzeciwiało. Mówi[2]), że atrament jest rozmaitych odcieni, że charakter pisma z małymi wyjątkami jest jednego typu, choć od różnych rąk pochodzi, wyraża supozycyę, że możliwie, iż księgę w bardzo znacznej części pisali Stanisław i Stefan, notaryusze książęcy.

To wszystko nie przemawia ani na naszą korzyść, ani na naszą niekorzyść, rozstrzygnięcie mogłaby przynieść autopsya, porównanie spatiów, wypełnionych jedną ręką i jednakowym atramentem, a tego w tej chwili zrobić niestety nie możemy. Do przypuszczeń nakłania nas znajomość systemu odpisywania praktykowanego w kancelaryach grodzkich odnośnie do ksiąg zniszczonych, a pewne uprawnienie daje notka nr. 288, umieszczona między numerami 287, a 289 i datami 18 maja 1426, a 22 maja 1426, a pochodząca z r. 1417, która poczyna się od tych słów: „Item de regestro antiquo sub anno domini MCCCC decimo septimo, in

[1]) Nr. 417.

[2]) Str. VII.—VIII.

Łomże, in crastino Epiphanie domini". Wyraźnie więc wspomina jakiś stary bliżej nam nieznany regestr, z którego jest odpisem.

Wreszcie po notkach 781 i 782, pochodzących z 2 kwietnia 1429, następuje notka nr. 783 z 20 października 1427, po niej zaś nr. 784 z 3 kwietnia bez daty rocznej, jedynie tekst powołuje się: „item anno etc. loco testibus quibus supra". Ściśle trzymając się tekstu, powinniśmy numerowi 784 dać roczną datę 1427, jakkolwiek data dzienna wskazuje raczej na rok 1429, z którego pochodzi cały szereg not poprzedzających i następnych, co wszystko przemawia znowu za bezmyślnem ściąganiem tekstów z różnych lat przez przepisywacza. W podobnym wypadku pisarz notki nr. 232, gdy nie chciał powtarzać daty rocznej i świadków, zapisał „item... anno etc. et testibus quibus tercia nota supra", a więc wskazał na nr. 229 z 29 stycznia 1426 r. z pominięciem nr. 230 i 231 z 23 września 1425 r.

Wreszcie sama już wyżej powołana zapiska o żupnikach włoskich i ekspensach z dochodów żupnych, przemawia za tem, że jest to księga przepisana i że przepisywaczowi zaplątała się w niej karta, z metryką mazowiecką nie mająca nic wspólnego.

Zatrzymaliśmy się trochę przydługo na chaotycznej chronologii księgi metryki mazowieckiej, aby wreszcie dojść do pytania zasadniczego, dlaczego wydawca w tej publikacyi tę zagmatwaną chronologię zachował?

W przedmowie z całą szczerością wyznaje wydawca, że wszystkie księgi „drukowane będą w tym porządku, w jakim się dochowały i niechaj zręczni i bystrzejsi krytycy, gdy całość wydawnictwa będą mieli w ręku, sami określają, jaka część do jakiej należy, lub jakie ich winno być chronologiczne następstwo i ciągłość" [1]).

Niezaprzeczenie ująć nas może sympatycznie dla wydawcy jego szczerość i skromność, lecz nie rozwiąże tem samem postulatów naukowych, jakie musimy stawiać pracy naukowej. Jeżeli podejmujemy się tutaj krytyki, to niech nam będzie wolno powiedzieć, że w najmniejszej mierze nie jest naszym zamiarem ostrze jej kierować ku Szanownemu Wydawcy, którego wytrawna znajomość średniowiecznego pisma dała nam w metryce mazowieckiej lekcyę znakomitą i wzorowo staranne wydanie.

Historyografia polska z uznaniem spoglądać musi na mazowieckich braci, którzy bez żadnej pomocy państwowej, a raczej wbrew woli tego państwa, wśród najtrudniejszych warunków, bez

[1]) Str. VI.

pomocy technicznych, jaką niosą ukwalifikowani kopiści, biegli w łacinie składacze drukarscy, imali się najcięższych zadań naukowych w dziedzinie pracy wydawniczej i syntetycznej i chlubnie je spełniali.

Chodzi nam jedynie o to, by na przykładzie metryki mazowieckiej zsumować niejako dotychczasowe wydawnicze doświadczenie historyografii polskiej, utrwalić w słowach rzeczy niemal powszechnie znane, a jednak dotychczas w piśmiennictwie nie ujęte, według znanej łacińskiej zasady: „quod non est in actis, non est in mundo“. Nadto wobec zamierzonego dalszego wydawania metryki mazowieckiej w sposób podany rozważania nasze chciałyby przestrzedz, ewentualnie wywołać dyskusyę.

Ażeby stanąć na pewnej wspólnej platformie, musimy wpierw porozumieć się, jakim celom i zadaniom służy praca wydawnicza? Naszem zdaniem praca wydawnicza nie ma celu s a m a w s o b i e, istnienie jej uwarunkowane jest powstaniem całego szeregu dzieł naukowych konstrukcyjnych, które w niej mają swe źródło i początek, jest niejako narzędziem, które służy pracy syntetycznej, a jako narzędzie, im jest doskonalsze, im sprawniejsze, tem sprawniej funkcyonuje aparat naukowy dzieła. To jest pierwsze i najzasadniejsze zadanie wydawnictwa źródeł naukowych. Drugie niemniej ważne, lecz raczej utylitarne — to ocalenie od zatraty tych materyałów naukowych, którym dawność ich, butwienie lub zblaknięcie materyału piśmiennego grozi ruiną.

Objaśnijmy to przykładowo: badacz pod pewnym kątem widzenia czyta wydawnictwo źródłowe, przypuśćmy opracowuje jakąś instytucyę prawa zwyczajowego, śledzi jej rozwój i zamieranie, jak się ono stopniowo przejawia w pomnikach prawa polskiego. Myśl jego napięta w pewnym kierunku, budująca w toku czytania przesłanki i wnioski, rozbijać się musi o ujemną chronologię wydawnictwa, musi oddzielnym wysiłkiem myślowym wpierw ją uporządkować, prowadzić dwie prace jednocześnie: krytycznie systematyzującą i syntetyczną. Pisząc te słowa, nie mamy na względzie wygody uczonego: dla miłości nauki i prawdy ileż się podjąć trzeba nieraz prac i niewygód! Lecz skoro już coś tworzymy, twórzmy to w możliwie najdoskonalszych granicach. O ile zaś nam chodzi o szybki i bujny rozkwit nauki polskiej, o dorównanie po wiekowym zastoju kulturze zachodu na polu wiedzy, niech każdy spełni swoją powinność: najpierw krytyk-wydawca, potem uczony badacz.

Jeżeli wydawca odwołuje się do zręczniejszych i bystrzejszych krytyków, którzy mieliby przeprowadzić ponowną rewizyę wydawnictwa, to pozwolę sobie zwrócić jego uwagę, jak bardzo nadzieje w tym kierunku są płonne. Jest coś w naturze ludzkiej, które sprawia, że człowiek, imający się rączo wszelakiego zadania, które ma wykonać jako pierwszy i jedyny, dążący wytrwale ku niezdobytym posterunkom, ociężalej niejako i bardziej opieszale podejmuje się pracy, gdy ma zostać tylko poprawiaczem dzieła, gdy pracę cudzą ma tylko z nowa uzupełnić i wykończyć. To ogólne spostrzeżenie o naturze ludzkiej i w pracy naukowej znajduje swój oddźwięk i wyraz. Wiemy to wszyscy dobrze, jak niezupełną jest nasza znajomość czasów polskiego średniowiecza, jak niedoskonałą nasza wiedza na podstawie istniejących dyplomataryuszy, jak Kodeks Dogiela, kodeksy małopolski, wielkopolski i i., jak bardzo wymagają one rewizyi, ale z drugiej strony ponieważ one już istnieją, więc zadawalamy się w pracy naukowej takimi, jak są, i mimo powstania komisyj, powołania referentów do tej sprawy, nie rychło oglądniemy zapewno całokształt średniowiecznych dyplomów piastowskich i jagiellońskich. Jako rzecz skończona, i to w możliwie najdoskonalszej formie, powstał tylko „Corpus iuris polonici“ z początku panowania Zygmunta I., ale też było to przedsięwzięcie zupełnie nowe, w polskiej literaturze wydawniczej dotychczas nie reprezentowane. Nieobojętną też sprawie takiego powtórnego wydawnictwa muszą być znaczne koszta wydawnicze i drukarskie.

Zresztą w chwili, w której wydawca trzyma księgi metryki mazowieckiej w ręku, rozporządza jeszcze tymi momentami, które dla krytyka-wydawcy są decydujące: papier, charakter pisma, atrament i świeżość jego barwy. Za lat dziesiątek, choćby nawet same księgi nie uległy zniszczeniu, co nigdy nie jest wykluczone, wszystkie te znamiona pod działaniem czasu mogą odpaść i już się więcej nie powtórzy sposobność do krytycznego wydania źródeł.

Zwrócimy także uwagę na to, że wydawca, jakkolwiek tak się zastrzegł krytyki, z pobudek nadmiernej skromności wyznajmy to szczerze, sam nawet nie mógł się od niej uchylić w takich miejscach, gdzie należało wydać pewien sąd, zająć jasno zdecydowane stanowisko. Wśród zapisek z czerwca 1427 r. ukazuje się zapiska nr. 474 z 25 czerwca 1426, po niej cały szereg zapisek niedatowanych, a dopiero zapiska nr. 488 zaopatrzona jest datą 11 lipca z 1427 r. Mimo to część zapisek, t. j. od 475 do 478 włącznie, przysądził autor do roku 1426, a resztę od 479 do 485 do roku

1427, jak o tem świadczy zestawienie chronologiczne zapisek na końcu publikacyi. Pomijamy zasadność tego rozdziału, ponieważ jest to w obecnej chwili rzeczą dla nas obojętną, chodzi nam tylko o wykazanie, że skoro autor wydzielił ze składu zapisek jedne n. p. przepis o żywieniu papugi, skoro określał chronologicznie drugie, więc wydawał sądy; wydawał je na pewnych bliżej nieznanych nam przesłankach, więc wykonywał funkcye krytyczne, przeciw którym się zastrzega; widocznie sam tok pracy do nich go zmuszał i tę czynność krytyzującą należało mu konsekwentnie przeprowadzić aż do końca.

Wreszcie sięgnijmy do argumentu ostatniego, do wzorów, jakie zostawili nam poprzedni wydawcy, a przedewszystkiem niezapomnianej pamięci Ksawery Liske. Z pośród wielu wzorów wybieramy ten przedewszystkiem, ponieważ jest najbardziej zbliżony jakością materyału rękopiśmiennego do metryki mazowieckiej.

W podobnem położeniu, jak wydawca metryki mazowieckiej, znalazł się Liske, publikując zapiski sanockie[1]), a jeszcze bardziej halickie[2]). Otóż nie wahając się, powypruwał z okładek sfoliowane zapiski sanockie tak grodzkie, jak i ziemskie, uporządkował je według materyi i dat chronologicznych i w takim porządku je wydał. Przy tem porządkowaniu okazało się, że to, co rzekomo miało być aktami grodzkimi, istotnie składa się z pomieszanych ze sobą aktów grodzkich i ziemskich oraz innych. W aktach halickich nastręczała się jeszcze inna trudność prócz pomieszania chronologicznego seksternów, mianowicie ta, że część ich była odpisem współczesnym, dokonanym wśród najzupełniejszego bezładu chronologicznego, a więc wypadek podobny, jaki przypuszczalnie miał miejsce z księgą metryki mazowieckiej nr. 333. Wszystkie te zadania tak w tomach XI i XII, jako też dalszych XIII, XIV i XV Aktów grodzkich i ziemskich rozwiązał Liske ku zupełnemu zadowoleniu wymogów nauki. W wydawnictwie ustalił porządek chronologiczny, a dla zobrazowania czytelnikowi, jaki jest stosunek porządku nowego do dawnego bezładu, umieścił na wstępie każdego tomu tabelę stronic dawnych i nowych, oraz numeracyę foliów na marginesie wydawnictwa. I dziś śmiało możnaby powiedzieć, że choćby kataklizm jakiś dotknął najstarsze tomy aktów grodzkich i ziemskich Czerwonej Rusi, nie zginęły one dla nauki: pracownik naukowy ma je zachowane we wzorowem wydawnictwie, o wyglądzie

---

[1]) Akta grodzkie i ziemskie, T. XI., str. XIII—XIV.

[2]) A. G. L., T. XII., str. VI.

ich nabierze wyobrażenia z umiejętnej przedmowy i umiejętnych przypisów w ciągu dzieła.

Tej pracy segregującej nie może nam zastąpić sumienne zestawienie chronologiczne zapisek na końcu wydawnictwa metryki mazowieckiej.

Teraz słów kilka o indeksie rzeczowym, który autor nazywa skorowidzem. Witamy go z wdzięcznością dla wydawcy. Ileż monumentalnych naszych wydawnictw obchodzić się musi bez tego niezbędnego *vade mecum* i nigdy go się prawdopodobnie nie doczeka! Jeżeli już zakreślamy program idealnego wydawnictwa źródeł, to nie możemy pominąć kilku uwag krytycznych, tyczących się indeksu rzeczowego.

Indeks rzeczowy spełnia swoje zadanie wtedy, skoro potrafi przeprowadzić taki podział materyi, że każdy przedmiot znajdzie się ściśle pod właściwą sobie definicyą i skoro każda definicya skupi w sobie wszystkie te pierwiastki, które stanowią jej istotną cechę bez względu na rozbieżność nazw formalnych, w które jedne i te same pojęcia prawne wyposażała chwiejna nomenklatura prawnicza średniowiecza. Te warunki spełnia wprost idealnie indeks rzeczowy Oswalda Balzera w tomach XI. do XV. Aktów grodzkich i ziemskich, ponadto przez umiejętne zszeregowanie kilku nazw formalnych, służących definicyi tego samego pojęcia, ułatwia oryentacyę nawet wówczas, gdy badacz, nie skrystalizowawszy sobie jeszcze przedmiotu swego studyum, szuka dopiero dróg do niego.

Wydawnictwo Metryki Księstwa Mazowieckiego w układzie indeksu rzeczowego oparte jest raczej na formalnej nomenklaturze źródeł, niż na pojęciowem ugrupowaniu materyi według przedmiotu. Stąd rzeczy te same, sobie blizkie lub bardzo do siebie zbliżone tworzą odrębne pozycye n. p. arma i clenodium, diffamatio. infamia i nobilitatis probatio, co wprawdzie zwiększa rozciągłość i dokładność indeksu, ale zmniejsza jego przejrzystość. Zamiast użyć dobrze znanego i ściśle określonego w prawniczem wyrazownictwie terminu „wyderkaff“, zastosowano tutaj dość rozwlekłą terminologię: „venditio bonorum sub conditione revenditionis“, zamieściwszy ją w dodatku pod bardzo ogólnikowem i rozległem pojęciem „bona“. Inny przykład: propinquitas — bliższość, obyczaj prawny, tkwiący korzeniami może nawet w zamierzchłej słowiańszczyźnie, w wieku XV. zaczyna wymierać. Było to rzeczą zresztą naturalną wobec tego, że bliższość stosowana *sensu stricto* musiałaby w stosunki gospodarcze wprowadzić taką chwiejność, przy której z czasem wszelkie transakcye dobrami ziemskiemi stałyby

się niemożliwe. To też w Metryce mazowieckiej do wyjątków należą wypadki, w których następuje odwołanie sprzedaży dóbr lub ich części na zasadzie, że „N. est propinquior"[1]) lub „X. et Z. fuerunt ita propinqui sicut et Martinus"[2]). Najczęściej nowonabywcy, uprzedzając możliwość wzruszenia prawa własności, uzyskują zgodę bliższych na sprzedaż dóbr ziemskich[3]). Te wszystkie doniosłe wypadki zaciągnął wydawca pod odpowiednim terminem: „propinquitas". trzymając się jednak formalnej nomenklatury. pominął najciekawszy z nich wszystkich, w którym sprzedaż dóbr odbywa się pod warunkiem, że „I. et P. nulli preter fratres de clenodio vendere debebunt, fratribus prius non havisatis"[4]). Bliższość więc zastrzeżona zastaje nietylko krewnym, ale także rodowcom, współklejnotnikom, co jest już prawdopodobnie szczątkowym przeżytkiem czasów, w których poczucie wspólności rodowej było o wiele silniejsze. Może już na rzecz nowszych czasów robi się nowonabywcy ulgę, że może dokonać dalszej sprzedaży dóbr, uwiadomiwszy jedynie wpierw braci klejnotnych. Ten objaw niezmiernie interesujący znalazł się w wydawnictwie pod zgoła co innego mówiącym nagłówkiem: „fratres de clenodio v. clenodium".

Wreszcie pod względem technicznym w druku skorowidzów rzeczowego i osobowego, oraz zestawieniach z punktu widzenia estetyki wydawniczej, lepiej byłoby zachować dawny system druku dwuszpaltowego, niż długie węże cyfr przeplatać białemi, pustemi plamami. Na taki zbytek w papierze może sobie zresztą w obecnej chwili tylko szczęśliwsze Mazowsze pozwolić. nie stać na niego Małopolskę, a tem mniej Ruś Czerwoną.

Kończąc te rozważanie nad sposobami wydawania źródeł średniowiecznych, a zwłaszcza zapisek, streszczamy postulaty naukowe, wysnute z dotychczasowej praktyki wydawniczej:

1. po roztrząśnieniu kryteryów wewnętrznych i zewnętrznych należy dążyć do ustalenia porządku chronologicznego materyału i w tymże przekazać go do druku;

2. umiejętny indeks rzeczowy musi być zgrupowany według definicyj prawnych. nie według formalnej nomenklatury.

---

[1]) Nr. 406, 472, 626.
[2]) Nr. 366.
[3]) Nr. 276, 372, 422, 639, 675, 776, 777.
[4]) Nr. 633.

Pod rządami trzech zaborców nauka polska rozwijała się tylko dzięki niezmordowanej ofiarności pracowników naukowych, którzy biorąc na siebie ciężary niejednokrotnie nad siły jednego człowieka, sami spełniali cały szereg prac przygotowawczych, pomocniczych obok zadania naczelnego, którego się podjęli. Miejmy nadzieję, że w nowo budującem się państwie polskiem nie zbraknie pomocy ludziom nauki, a tem samem wszelkie studya naukowe, wydawnictwa osiągać będą coraz wyższy stopień doskonałości.

Helena Polaczkówna.

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“